Dziś w numerze: ● Goniec – problem społeczny? ● Koronki pana Glazera ● Gra w anilanę ● Wizyta u Nikifora ● Wokół nowej „OSNOWY" ● Wiersze ● Recenzje ● Felietony ● Polonica

odgłosu

Nr 6 (420)
12. II. 1967 r.
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK X

SANDRA GAGANASZWILI

BIAŁA RAMPA

Dziewczyna ma dwadzieścia lat i nieruchomą twarz, po której wolno spływają małe łzy, błyszczące sino w jarzeniowym świetle. Mówi szybko, monotonnie, głosem podobnym do szmeru, patrzę w tę jasną, jakby przezroczystą twarz i dopiero po chwili zaczynam rozróżniać słowa.

— ...tak nagle znalazłam się tutaj. Nie mogę zupełnie w to uwierzyć. I to ma trwać dłużej, niż godzinę! Jak ja to przeżyję...

— To będzie trwało cztery dni — wtrącam obojętnie, bo denerwuje mnie jej niecierpliwość.

— Głupio... — szepcze ona. — Jak głupio... Pani wie, że w zeszłym tygodniu umówiłam się już na jutro z przyjaciółmi do lokalu. Pięknie się karnawał zaczyna...

— Pójdzie pani wobec tego do lokalu w przyszłym tygodniu.

— Głupio — wzdycha dziewczyna i rękawem szlafroka z czerwonego welwetu ociera twarz. — Gdybym wiedziała, że tak, to bym poszła prywatnie. Tylko drogo — dodaje — okropnie drogo, prawie się nie opłaca.

— No, lokal też kosztuje...

— Za lokal przecież nie ja płacę.

— No tak, oczywiście.

Dziewczyna uspokaja się nagle, twarz ma już suchą. Rozgląda się wkoło niepewnie.

— Co tu robić. Co robić. Tak nudno... uśmiecha się przepraszająco. — Wyjdę na korytarz, zapalę...

Białe drzwi otwierają się z cichym skrzypnięciem. Wychodzę za nią.

II.

Chodzą po korytarzu grupkami. Palą papierosy. Ubrane w koszule z białego płótna z niebieskim pasem pośrodku i czerwone welwetowe szlafroki. Mówią, mówią bez przerwy. Licytują się rozmiarami swoich cierpień, splątanymi kolejami swoich domowych losów, swoich kobiecych przejść. Nie odnajdują w tym jednak spokoju. Tu nie ma spokoju. Wszystkie są zdenerwowane. Przesiadują w łazience, patrzą w lustro, malują oczy, usta, robią sobie fryzury, lakierują paznokcie. Tak bardzo chcą się podobać. Komu? sobie samym, innym takim jak one, lekarzom? Takie niepotrzebne czują się tutaj. Bezwartościowe. Chorują. Więc znów opowiadają sobie o życiu ciężkim, o mężach, chłopcach i chłopach. Jakaś ulgę im to przynosi. Każda ma w zanadrzu inną niby historię: życiorys, dom, pracę — coś, gdzie jest potrzebna. Chcą kogoś obchodzić w tej samotni bolesnej.

Kiedy są badania, przed salą zabiegową jedna czeka na drugą. Tutaj najwięcej napięcia. Każda, a jest ich codziennie po kilka — boi się, wstydzi. Tam za białymi drzwiami siedzi dwanaście osób. Dziesięciu mężczyzn, dwie kobiety... i ta, którą badają.

— Jak tam jest? — pytają nowe, zwłaszcza te, które w ogóle pierwszy raz.

— Jak pani tam wejdzie — odpowiada któraś z doświadczonych — to się zaraz pani zrobi słabo, ale potem położą na fotelu i wszyscy po kolei będą badać... Po drugim, trzecim, to już się zrobi obojętne ilu...

— To naprawdę każdy?

— Tak. A jak nie, to się przyglądają.

— O Jezu — przeraża się któraś — ja nie chcę!

Dalszy ciąg na str. 4

DOC. DR ANNA RYNKOWSKA

Łódź w latach „Ziemi Obiecanej"

Tak — ale jakie to były lata? W powieści pracownik bankiera Grosglücka oddając szefowi korespondencję oznajmia: „Wiktor Hugo umarł wczoraj". Jak wiadomo Hugo zmarł w 1885 roku. Mimo tej sugestii łatwo stwierdzić, że Łódź w „Ziemi Obiecanej" jest o dziesięć lat starsza, że jest to Łódź oglądana przez Reymonta w 1896 roku, wówczas, gdy przyjechał tu, aby zebrać materiały do epopei przemysłowego miasta.

Akcja, nie biorąc pod uwagę zakończenia powieści, dzieje się około 13 miesięcy, od marca do marca następnego roku. Marzec na kartach powieści ciągnie się dość długo, co w pewnym stopniu wpłynęło na przedstawienie miasta w ponurym kolorycie, wśród deszczu i błota. Nie wiadomo jak długo trwał pobyt pisarza w Łodzi, lecz wiemy, że swego czasu mieszkał w pobliżu Łodzi, więc to miasto nie było mu obce.

„Ziemia Obiecana" jest przede wszystkim obrazem życia wielkoprzemysłowej Łodzi w okresie postępującej koncentracji kapitalistycznej. W tym czasie ogólna wartość produkcji przemysłu włókienniczego wynosiła około stu milionów rubli, co stanowiło prawie czwartą część łącznej wartości produkcji przemysłu Kongresówki. Łódź przeżywała częste kryzysy, jednak w latach 1894—1897 widoczne jest ożywienie i wzrost tempa produkcji. Postępowała mechanizacja i modernizacja urządzeń, nieliczne już ręczne tkalnie przestawiały się na napęd mechaniczny. Kapitał przemysłowy łączył się z bankowym, fabrykanci łódzcy byli udziałowcami banków. Obok zjawisk pozytywnych dla życia gospodarczego rozwijało się w Łodzi grynderstwo, zdarzały się sztuczne bankructwa, podpalenia fabryk, obniżano jakość wyrabianych tkanin, rósł wyzysk człowieka.

Największe były w Łodzi fabryki Scheiblera, Poznańskiego i Heinzla. Reymont skon

Dalszy ciąg na str. 3

ze ŚWIATA

„Głębokie zainteresowanie wszelkimi próbami pokojowego rozwiązania", „gotowość wyjścia dalej niż na połowę drogi" i równocześnie stwierdzenie: „stoimy w obliczu wielkich kosztów i cierpień, ale będziemy kontynuować nasze wysiłki i wspierać nasze walczące wojska" — oto, co Johnson miał do powiedzenia na temat wojny wietnamskiej w ub. tygodniu.

Jak wynika chociażby tylko z cytowanych słów, prezydent Stanów Zjednoczonych zadał sobie wiele trudu, by osłabić nadzieje na możliwość przerwania bombardowań Demokratycznej Republiki Wietnamu, a tym samym możliwość podjęcia rokowań.

Piszę: „tym samym", ponieważ, jak wynika to z wypowiedzi oficjalnych przedstawicieli DRW oraz Narodowego Frontu Wyzwolenia Wietnamu Południowego, położenie kresu aktom wojennym wobec północy mogłoby zarysować perspektywy nawiązania rozmów. Okazja po temu zarysowuje się wspaniała — Narodowy Front Wyzwolenia wydał podległym sobie jednostkom wojskowym rozkaz przerwania działań na czas uroczystości wietnamskiego Nowego Roku, między 8 a 15 lutego. Z datą tą i wspomnianymi wypowiedziami przedstawicieli Hanoi komentatorzy zaczęli wiązać daleko idące nadzieje i spekulacje. Cóż — wydaje się, że Johnson ostatecznie je przekreślił. By Czytelnicy nie sądzili, że jest to subiektywne odczucie piszącego, pozwolę sobie przytoczyć niektóre opinie prasy zagranicznej. „Combat" stwierdza „wyraźne rozczarowanie wypowiedziami prezydenta", „Figaro" mówi o „popsutych okazjach", Reuter — o „braku postępu na drodze do osiągnięcia pokoju"..

Do niedawna Waszyngton akty dobrej woli uzależniał od sygnału z Hanoi, dziś, kiedy strona przeciwna jednoznacznie określiła warunki rozpoczęcia rokowań, uparcie zaprzecza pozytywnym oznakom. Wszystko to świadczy o jednym: Stany Zjednoczone chcą zmusić Wietnam do przyjęcia ich warunków. Jak widać, politycy amerykańscy nie wyciągnęli żadnych wniosków z nauk wietnamskiej wojny, której przecież nie mogą wygrać.

Dalszy bieg wydarzeń obserwować będziemy z największą uwagą, nie tracąc mimo wszystko nadziei, że w Waszyngtonie nastąpi opamiętanie.

* * *

Pobyt rumuńskiego ministra spraw zagranicznych w Bonn i wiadomość o podpisaniu porozumienia o nawiązaniu stosunków dyplomatycznych między NRF a Rumunią komentowany jest przez niektórych zagranicznych publicystów jako przejaw omawianej na tym miejscu w ub. tygodniu tzw. „nowej polityki wschodniej" Niemiec zachodnich.

Bońskie ośrodki propagandowe uderzają w wysokie tony, przypisując tandemowi Kiesinger — Brandt pierwszy poważny sukces polityczny. W Bundestagu posypały się gratulacje, wzmogła reklama „nowej polityki".

By nie było żadnej wątpliwości, że poza tonem i dobrą miną cokolwiek zmieniło się w kierunku politycznym Bonn pozwolimy sobie powołać się na opinię byłego kanclerza Erharda, wyrażoną przed kilku dniami na łamach „Koelner Stadt Anzeiger". Powiedział on wprost: „w polityce zagranicznej nowego rządu nie daje się zauważyć żadnej decydującej zmiany kursu — poza niuansami i to przede wszystkim w mowie".

Na faktach wykazywaliśmy już na tym miejscu, że były kanclerz tym razem się nie myli. Unaoczniło to także oświadczenie rządu radzieckiego, adresowane do sygnatariuszy Układu Poczdamskiego, a nawołujące do najwyższej czujności w związku z niebezpiecznym rozwojem sytuacji w Niemczech zachodnich.

Dlaczego więc tyle energii wykazuje Kiesinger, by nie zmieniając nic z treści polityki przedstawić ją w nowym opakowaniu? Odpowiedź jest bardzo prosta chce stworzyć wrażenie, że NRF ma dobre intencje, które nie wszędzie jednak znajdują zrozumienie. Czyżby zapomniał, że w polityce liczą się tylko fakty?

* * *

Podczas gdy powszechne zainteresowanie w ostatnim okresie ześrodkowane jest na kwestii wietnamskiej i zabiegach kanclerza NRF o pozorowanie starej, w gruncie rzeczy, polityki Bonn — zwróćmy uwagę Czytelników raz jeszcze na Indonezję, gdzie rozgrywa się ważny etap walki o władzę.

Przeciwnicy Sukarno, a w tej liczbie i min. Malik, podjęli próby skłonienia prezydenta do dobrowolnej rezygnacji z urzędu. Przekonując niebezpieczeństwem, jakie może wyniknąć dla jego osoby z zapowiedzianego na marzec podjęcia sprawy przez Tymczasowe Zgromadzenie Doradcze, siły prawicowe chciałyby pozbyć się niewygodnego im polityka.

Sukarno „rad" nie posłuchał, oświadczając, że jego ustąpienie byłoby równoznaczne ze zlikwidowaniem Indonezyjskiej Partii Narodowej, na której czele stanął przed 38 laty, a która do dziś pozostała mu wierną. Z pewnością jednak nie jest to koniec sprawy.

Sygnały z Dżakarty nie zaskakują uważnych obserwatorów wydarzeń międzynarodowych. Mogą być tylko potwierdzeniem walki politycznej, jaka się tam toczy. Niestety — systematycznie biorą w niej górę siły antysukarnowskie. Nie wróży to Indonezji nic dobrego.

W. SŁAWSKI

Kronika TYGODNIA

■ **Rząd ZSRR ostrzegł rząd chiński, że „wytrzymałość i cierpliwość ludzi radzieckich mają swoje granice".**

■ Jeden z teatrów londyńskich zamierza wystawić sztukę poświęconą życiu Winstona Churchilla. Autorem sztuki jest Rolf Hochhuth.

■ Jugosłowiański dziennik „Borba" w artykule na temat kapitałów zagranicznych w Jugosławii pisze, że istnieją wokół tego zagadnienia dwa skrajne stanowiska. Jedno z nich wyraża obawy przed dopuszczeniem obcego kapitału do gospodarki jugosłowiańskiej, ponieważ mogło by to spowodować przywrócenie stosunków, które już dawno zostały zlikwidowane; drugie zaś uważa, że jest to jakaś magiczna siła, która rozwiąże wszystkie obecne trudności. **„Jeśli mowa o dopuszczeniu kapitałów zagranicznych, to rzecz nie polega na tym, aby nasz kraj otworzył mu bramy, tylko po to, aby uzyskać dodatkowy kapitał. Chodzi o akumulację kapitału, który umożliwi szybszy rozwój przemysłu i pozwoli przyswoić gospodarce najnowsze osiągnięcia techniczne. Jeżeli nie chcemy podzielić losów peryferii współczesnego świata przemysłowego, to trzeba wykorzystywać wszelkie możliwości modernizacji".**

■ Władze chińskie wydały zarządzenie nakazujące wypuszczenie na rynek wielkich portretów Mao Tse-tunga o wymiarach 2,30 x 1,70 m. Portrety zostaną rozkolportowane w całych Chinach po to, by — jak podało radio Pekin — światło przewodniczącego Mao oświetliło na zawsze naród chiński i wszystkie narody całego świata.

— Coraz lepiej, lecz czy nie mógłby Pan użyć jaśniejszych farb?

(Der Spiegel)

■ 1,8 miliona Japończyków oczekuje na założenie telefonów. W Japonii jeden telefon przypada na 9 osób.

■ Według opinii wielu agencji prasowych popularność pani Jacqueline Kennedy ucierpiała w wyniku wydania kontrowersyjnej książki Manchestera „Śmierć prezydenta". O ile jeszcze miesiąc temu badania Instytutu Gallupa wykazywały, że wdowa po Kennedym uważana jest nadal przez amerykańską opinię publiczną za „najbardziej popularną i podziwianą kobietę na świecie" o tyle ostatnie wyniki sondażu Gallupa wskazują na spadek jej popularności. 44 proc. indagowanych wyraziło opinię, że książka Manchestera zaszkodziła jej prestiżowi.

■ **Premier ZSRR Aleksiej Kosygin rozpoczął tygodniową wizytę w Londynie. Gospodarz brytyjski, premier Harold Wilson, oświadczył na niedawnym spotkaniu labourzystowskiej grupy parlamentarnej, że będzie „rano, po południu i wieczorem" rozmawiał z Kosyginem na temat możliwości zakończenia konfliktu wietnamskiego.**

■ KP Japonii wystąpiła zdecydowanie przeciwko dywersyjnej działalności grupy byłych komunistów japońskich przebywających obecnie w Pekinie. KP Japonii oskarżyła tę grupę o zdradę własnej partii i stwierdziła, iż grupa owa usiłowała podporządkować KP Japonii chińskim czerwonogwardzistom, a obecnie służy pewnemu obcemu mocarstwu.

■ **Moskiewska „Prawda" zamieściła na całej prawie kolumnie artykuł pt. „Kiedy nie nadążą się za epoką". W artykule tym dziennik podaje krytyce dwa miesięczniki literackie „Nowyj Mir" i „Oktiabr". Nawet pobieżna analiza działalności obu czasopism, stwierdza pismo, świadczy, że nie są one na razie prawdziwymi organizatorami procesu literackiego, aktywnymi pomocnikami związków twórczych w zespalaniu i wychowywaniu sił literackich w duchu odpowiedzialności wobec społeczeństwa radzieckiego. Oba miesięczniki pozostają w tyle za niezwykle szybkim rozwojem społeczeństwa radzieckiego i jego kultury, a mogą pozostać jeszcze dalej w tyle, jeśli nie przezwyciężą swych poważnych niedociągnięć.**

■ W czasie pobytu w Stanach Zjednoczonych brytyjski minister spraw zagranicznych G. Brown wziął udział w przyjęciu wydanym przez businessmenów Detroit. „Zawsze właściwie wiedziałem — oznajmił Brown — że my Anglicy umiemy robić mnóstwo rzeczy lepiej niż wy; dziś przekonałem się, że do rzeczy tych należy także kuchnia".

■ **Zdaniem Roberta Kennedy'ego, najbliższe tygodnie mogą mieć szczególne znaczenie dla losów konfliktu wietnamskiego, zarówno z uwagi na zapowiedziane zawieszenie broni w Wietnamie, jak i wizytę premiera Kosygina w Londynie.**

■ **Zdaniem jugosłowiańskiego czasopisma „Mieżduna rodna Polityka", jedność w światowym ruchu komunistycznym nie polega na formalnym monolicie, świadczącym bardziej o słabości, niż o sile socjalizmu, ale na demokratycznej dyskusji i koordynacji, bez przymuszania i potępiania.**

■ Francuscy czytelnicy tygodnika „Arts" uznali, iż wśród bestsellerów najbardziej czytanych znajdują się w kolejności: Biblia, „Robinson Cruzoe" — Defoe, „Przeminęło z wiatrem" — Mitchela.

■ **W Berlinie zachodnim sensację wywołało ostre starcie między senatem a francuską misją wojskową. Po raz pierwszy w powojennej historii miasta francuskie władze okupacyjne zagroziły unieważnieniem wyroku najwyższego sądu zachodniego Berlina, a więc pełnym zastosowaniem swej władzy okupacyjnej.**

■ **Fidel Castro: My, którzy uważamy się za rewolucjonistów i wierzymy, że nie będziemy musieli osądzać sami siebie, ponieważ czas przyzna nam słuszność, wiemy, jesteśmy świadomi, że na świecie, gdzie zyskuje na sile wiele reakcyjnych idei — zrozumienie dobrze — nawet pod rzekomo rewolucyjnymi sztandarami, nawet szermując terminologią marksizmu-leninizmu, my idziemy naprzód wznosząc w górę idee rewolucyjne. Ale nie tylko wznosząc je, lecz wierząc głęboko w te idee, wierząc głęboko w człowieka. I podejmujemy marsz tą drogą. Znajdzie się na świecie wielu, którzy będą nam życzyć porażki; znajdzie się na świecie wielu, którzy wolą porażkę najbardziej rewolucyjnych sił, niż przyznanie się, że sami nie byli rewolucjonistami.**

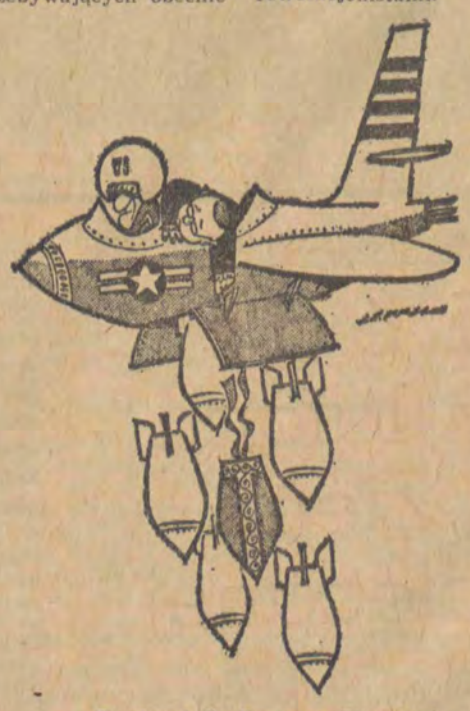

Kardynał Spellman w Wietnamie

W SPRAWIE TOLERANCJI

Łódzki Oddział Związku Literatów Polskich otrzymał niedawno ogromnie ciekawy list od pewnej redakcji pewnego pisma, reprezentującego pewne nie nazbyt liczne wyznanie w Polsce. W liście tym czytamy ze zdumieniem, że jeden ze znanych pisarzy naszego miasta dopuścił się obrazy Kościoła owego wyznania i to w dwóch powieściach na raz. Kolegium redakcyjne uważa: „takie postępowanie pisarza korzystającego ze swobody pióra w Polsce i z opieki, jaką nad literatami roztacza państwo, jest naszym zdaniem niewłaściwe i wymaga napiętnowania". Napiętnowania nie tylko w prasie owego wyznania, wymaga także napiętnowania przez sam Związek Literatów. Tak przynajmniej rozumiem ostatnie zdania listu, gdzie redakcja pisze, iż „czeka na efekt" i bardzo jest ciekawa „jakie stanowisko w tej sprawie zajmie Związek Literatów Polskich, Oddz. w Łodzi".

Pragnąłbym zaspokoić ciekawość redakcji. Nie piszę, rzecz prosta w żadnym imieniu, lecz tylko w swoim, pisarz w ogóle pisuje raczej w swoim imieniu, a w każdym razie nie w imieniu Związku Literatów. Czy można napisać powieść w imieniu Związku Literatów? I odwrotnie — czy Związek Literatów może żądać od pisarza, żeby chwalił ogrodników, a zaatakował np. kominiarzy? Redakcja powiada w swoim liście, że stoi na gruncie tolerancji, wolności sumienia i wyznania. Związek Literatów też stoi i to bardzo twardo, dlatego zbiorowe ingerowanie pisarzy różnych przekonań i wyznań w tekst jednego z kolegów, udzielanie mu reprymendy, lub pochwały zbiorowej, jest w samym założeniu piramidalnym absurdem. Jak wiadomo, pisarze, podobnie jak wszyscy ludzie, mogą wierzyć lub też nie wierzyć, jedni należą do partii, inni znowu nie należą, są indyferentni, są i religijni, a pośród nich mogą być zwolennicy rozmaitych kościołów. Właśnie dlatego, że istnieje u nas wreszcie tolerancja. Redakcja proponuje więc pisarzom tolerancję pod warunkiem jej zdrady, wolność sumienia pod warunkiem, że niczego nie wolno. Przypomina mi się w tym miejscu znane powiedzenie Prusa — najpierw ścina się głowę, a później nadaje liberalną konstytucję. Znamy te dobrodziejstwa także i z dziejów Kościołów.

Pozostaje wszakże sprawa druga — czy rzeczywiście mamy do czynienia z obrazą, naruszeniem swobody pióra, lekceważeniem państwowego mecenatu i innymi grzechami głównymi? Gdyby tak było — Diderot powinien dostać ładnych kilka lat za „Zakonnicę", los autora znakomitej „Spiżowej bramy" mocno by był niepewny, jakieś pięć lat bez zawieszenia, myślę też, że i autor „Nieba w płomieniach" nie wyszedłby obronną ręką, ja już nie mówię o losie, jaki by spotkał biskupa Krasickiego, sam bym zresztą musiał porządnie odbeczeć postać księdza-prefekta w jednej z moich skromnych powieści. Nie stało mi się nic, ponieważ powieść nie jest dokumentem wagi państwowej, nie jest także dokumentem historycznym, nie pisze się jej w imieniu organizacji masowej, lecz w swoim własnym, ponieważ mamy tolerancję. Z powieścią można polemizować, lecz za wydaną książkę publiczna anatema na autora spaść nie może.

Przeciwnicy naszego kolegi po piórze, który o nich nie napisał w dwóch powieściach więcej niż dziesięć marginalnych zdań, zachowują się tak, jak by w ogóle nie wiedzieli o naszej literaturze klasycznej i współczesnej, surowo niekiedy sądzącej ludzi, duchownych także. Czy dlatego, że to nie o ich kościół chodzi?

Redaktorzy listu do Związku Literatów zamieścili w swoim piśmie recenzję z obu książek naszego kolegi. Lecz recenzentowi obca jest jakakolwiek wiedza o rodzajach literackich, słowo daję, że zupełnie nie zna praw, jakimi rządzi się powieść. Narrator jest koniecznie autorem, sympatia narratora jest ulubienicą autora, a wszystko co nasz kolega napisał traktowane jest jako podręcznik, w którym obowiązuje dosłownie pojmowana wierność faktom. Miałby się z pyszna Sienkiewicz, gdyby się do niego dobrał ów recenzent!

Ów recenzent nie zna także taktu, a występuje w imieniu obrażonego ponoć Kościoła. Pisze, że żona autora nie mogłaby w jego Kościele zostać zakonnicą, gdyż nie stać ją na wyrzeczenia, oszczędzę zresztą cierpliwym Czytelnikom tych przykładów wtrącania się w sprawy rodzinne, nie mające nic wspólnego z powieściami, o które poszło i nic wspólnego z duchem tolerancji.

Recenzja kończy się pytaniem, które starczy za wszystko. „Państwo przestało popierać jedno wyznanie przeciw innym, od wyzwolenia, od 1944 roku. Kościół pod wpływem Soboru, oficjalnie odrzeka się od ataków na mniejszości wyznaniowe. Kogo więc... reprezentuje? Czyżby był „wolnym strzelcem"?

Nie. Był, jest i będzie pisarzem który przemawia własnym głosem, ponieważ tylko wtedy literatura ma sens. Posądzanie natomiast polskiego pisarza o łamanie zasad obowiązujących w Polsce Ludowej na podstawie kilku nic nie znaczących zdań w sprawie, o której pisano tomy i będzie się tomy pisać, mimo woli nasuwa myśl o grodzie nie nazbyt jeszcze jasnym.

Myślę, że autor recenzji jest strzelcem, ale nie wolnym, lecz zniewolonym, zacietrzewionym, nietolerancyjnym, jest przy tym strzelcem o tyle zabawnym, że strzela z armaty do muchy. Stąd pudło, idealne pudło.

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

Łódź w latach „Ziemi Obiecanej"

Dalszy ciąg ze str. 1

centrował uwagę na burżuazji, przede wszystkim na klasie sterującej przemysłem. Przed oczami czytelnika „Ziemi Obiecanej" przesuwa się galeria fabrykantów, którzy jednak są trudni do zidentyfikowania, gdyż mają zmyślone nazwiska i fałszywe adresy. Słusznie pisze M. Krzymuska, że Reymont tworzył portrety tak, że „nikt nie może pokazać palcem na któregokolwiek ze swych łódzkich znajomych i mieć złą uciechę odnalezienia go w powieści". Jednak rysy zewnętrzne, pewne cechy charakteru, sposoby działania pozwalają przypuszczać, że Szaja Mendelsohn — to Izrael Poznański, Herman Bucholc — to Karol Scheibler, Knoll — to jego zięć Edward Herbst, Oskar Meyer — to Juliusz Heinzel. Przyjrzyjmy się im bliżej. Największym potentatem przemysłowym w Łodzi był Karol Scheibler. Zaczął od przędzalni bawełny, która założył w 1855 roku. Już w latach siedemdziesiątych zatrudniał przeszło dwa tysiące robotników. W 20 lat później w fabryce pracowało przeszło sześć tysięcy osób. Dyrektorem i współwłaścicielem przedsiębiorstwa był Edward Herbst. Inaczej rosła fortuna Poznańskich. W latach trzydziestych XIX wieku mieszkał na Starym Mieście Kalman Poznański. Trudnił się „handlem towarów łokciowych". Synowi swemu Izraelowi dał dość duże jak na owe czasy wykształcenie i przekazał zajęcie kupca. W r. 1860 Izrael zakupił dom murowany przy rogu Drewnowskiej i Nowomiejskiej i tam zamieszkał. Zakłada pierwsze warsztaty tkackie. Skupuje place wzdłuż późniejszej ulicy Ogrodowej. Tam wybudował piętrową przędzalnię, która w 1877 r. spaliła się. W latach siedemdziesiątych prowadził mechaniczną tkalnię i przędzalnię, zatrudniał około tysiąca robotników. W 20 lat później w fabryce przy Ogrodowej pracowało dwa i pół tysiąca robotników. Izrael Poznański zmarł w 1899 roku, przeżył Scheiblera o 18 lat.

Juliusz Heinzel, syn tkacza Jana, zaczął karierę jako majster z kilkoma ręcznymi warsztatami. W 1866 r. założył przy Piotrkowskiej 104 mechaniczną tkalnię towarów wełnianych, która po 10 latach zatrudniała 750 robotników. Był współwłaścicielem Tow. Akc. Wyrobów Bawełnianych Heinzla i Kunitzera na Widzewie. Od księcia niemieckiego kupił zamek i tytuł barona von Hohenfels. Zmarł w 1895 roku. W tym czasie w fabryce przy Piotrkowskiej pracowało około 1200 robotników.

Reszta przemysłowców, wymienionych w „Ziemi Obiecanej" pozostanie chyba niezidentyfikowana mimo że autor umiejscowił ich na określonych ulicach. Tylko swoboda literacka podyktowała Reymontowi stworzenie przy końcu ulicy Konstantynowskiej centrum ręcznego tkactwa, w którym rzekomo dominowały mechaniczne fabryki Müllera, Trawińskiego, później także Borowieckiego. Tam też pisarz umieścił ręczną tkalnię Bauma, który „uparł się ręczną fabryką wytrzymać konkurencję z parą". Baum jest przedstawicielem trzeciego pokolenia majstrów tkaczy, którzy przybyli do Łodzi w czasach Królestwa Kongresowego. Tkacze okresu manufaktury zaczynali pracę od 1 do 3 warsztatów. Wspomagani pożyczkami władz polskich a później opieką caratu, szybko bogacili się, budowali domy i fabryki. Taka była kariera tkacza Heinzla, Ramischa, Hoffrichtera, Gampego, Eiserta, Kindermanna i innych. Burżuazja polskiego pochodzenia stanowiła mniejszość. Jest w „Ziemi Obiecanej" kilku fabrykantów Polaków. Było ich rzeczywiście bardzo niewielu. Jako najbogatszy, znany jest Aleksander Skrudziński, który prowadził przy Piotrkowskiej 214 farbiarnię i wykończalnię. Ożenił się z Niemką, córką fabrykanta.

Niewiele miejsca poświęca autor robotnikom. W tym czasie pracowało w przemyśle Łodzi około 55.000 osób. Ogromną przewagę mieli robotnicy polscy, między majstrami jednak była większość obcokrajowców, szczególnie Niemców. Kandydaci na robotników ciągle napływali ze wsi okolicznych i z miasteczek. „Dla tej „ziemi obiecanej", dla tego polipa pustoszały wsie" — pisał Reymont. Robotnicy osiedlali się na krańcach Łodzi, gdzie było niższe komorne i łatwiejsze warunki egzystencji. W przedstawieniu robotników uderzają sceny masowe. Pisarz widzi ich, gdy wczesnym rankiem wychodzą z bocznych ulic Piotrkowskiej i znikają w bramach fabryk. W niedzielę pokazuje nam robotników spacerujących po Piotrkowskiej w jaskrawych i niemodnych strojach. Oglądają wystawy z tandetą dla nich przeznaczoną, lub czasem odpływają do szynków.

Julian Krzyżanowski zwrócił uwagę, że Reymont mało miejsca poświęcił inteligencji zawodowej. Inteligencja polska, czy spolszczona, była nieliczna w Łodzi. Stanowili ją nauczyciele, adwokaci, aktorzy, dyrektorzy i urzędnicy fabryk, gazowni, aptekarze, lekarze. Był to element napływowy, wielu szczyciło się herbem szlacheckim. Życie kulturalne rozwijało się słabo. Przewaga żywiołów narodowościowo obcych oraz wrogi stosunek władz carskich do Polaków, stwarzały nieprzychylną atmosferę dla polskiej działalności kulturalnej w tym mieście. Powstawanie polskich stowarzyszeń kulturalnych i naukowych spotykało wiele utrudnień ze strony władz centralnych, których germanofilska polityka umożliwiała Niemcom rozwijanie szerokiej działalności na tym polu. Podobnie było z prasą. Bohaterowie „Ziemi Obiecanej" czytają „Lodzer Zeitung" i warszawski „Kurier Codzienny". Nie było wówczas polskiej gazety w Łodzi, mieście liczącym już przeszło 200 000 mieszkańców. „Dziennik Łódzki" nie wychodził od czterech lat, a „Rozwój" zacznie wychodzić w 1897 r. Tymczasem „Kurier Codzienny", założywszy przy Piotrkowskiej 46 swą agenturę, prowadził stałą codzienną kronikę łódzką. W 1897 r. na łamach tej gazety zaczęła wychodzić „Ziemia Obiecana" — przed drukiem w wydaniu książkowym.

Fragmenty akcji powieści rozgrywają się w teatrze „Victoria". Teatr ten, zbudowany w 1877 r. z inicjatywy dyrektora J. Texla, mieścił się w podwórzu posesji przy Piotrkowskiej 67. Teatr „Victoria" przechodził kryzysy, kierownictwo często zmieniało się, utrzymywał się dzięki subwencjom miłośników sceny. Budynek, mimo dwóch pięter teatralnych, był za mały, scena za ciasna, na scenie — jak podawała prasa — „aktorzy kręcą się i drepczą, udając, że chodzą i biegają". Dopiero lata dziewięćdziesiąte rozpoczęły okres stałego teatru polskiego, dyrektorzy ściągali na gościnne występy pierwszorzędne siły aktorskie, zmieniano często program. Bogata burżuazja niemiecka posiadała własny teatr „Thalia" na tyłach posesji przy ul. Dzielnej 18.

W powieści jest wspomniany kilkakrotnie hotel „Victoria" z restauracją. Stał od ulicy przy Piotrkowskiej 67. W Łodzi było wówczas kilka hoteli. Z najważniejszych należy wymienić luksusowy „Grand Hotel" oraz „Hotel Polski" (Piotrkowska 3), najstarszy na głównej ulicy.

Niektórzy przypuszczają, że Reymont zbierał materiały do swej powieści w cukierni Aleksandra Roszkowskiego przy rogu Pasażu Meyera i Piotrkowskiej 76. J. Krzyżanowski pisał, że Reymont: „do końca życia uważał stolik kawiarniany za nieodłączny czynnik życia codziennego". Przed Roszkowskim cukiernia ta należała do G. Reymonda, ale tego nazwiska pisarz nie wymienia. Cukiernia Roszkowskiego była największą i najpopularniejszą wśród 13 ówczesnych łódzkich cukierni. Zbierała się tam elita towarzyska oraz spekulanci i giełdziarze.

Reymont zagląda często do „Helenowa". Ogród ten został założony na początku lat osiemdziesiątych XIX wieku przez rodzinę przemysłowca Karola Anstadta w dolinie rzeki Łódki, między ul. Północną, Smugową i Źródłową. Koncentrowało się tu życie towarzyskie łódzkiej burżuazji, korzystającej latem i zimą z rozrywek organizowanych w parku, jak kort tenisowy, wyścigi łódek, zabawy kwiatowe, koncerty. Zakochane pary spotykały się wśród pięknych drzew, roślin cieplarnianych i klombów kwiatowych, „przeglądających się w wodzie sztucznego stawu, pełnego ryb, ze sztucznie urządzonym wodospadem". W parku był też zwierzyniec i grota. Wejście kosztowało 20 do 40 kopiejek od osoby, co uniemożliwiało korzystanie z „Helenowa" rodzinom robotniczym. Uboga ludność Łodzi, spragniona zieleni udawała się w dni świąteczne poza miasto, do lasu lub parku „Źródliska". Park „Mikołajewski" (im. Sienkiewicza) dopiero powstawał. Bohaterowie powieści Reymonta jeżdżą także do modnego wówczas Lasku Milscha (okolice ul. Koperkowska. Z głównej ulicy zbaczają w jej przecznice, przeważnie bez nazwy w powieści, idą ulicą Nowomiejską (która tu nazywa się jeszcze Piotrkowską, choć straciła tę nazwę w 1863 r.) na Stare Miasto, zapuszczają się na Drewnowską, Konstantynowską. Lecz Piotrkowska dominuje. I nic dziwnego, to serce miasta. Na tej pryncypalnej ulicy, przecinającej z północy na południe całe miasto, było wszystko: wielkie hotele, teatr, największe cukiernie, niedaleko poczta i dworzec, połowa łódzkich aptek, księgarnie, mnóstwo wspaniałych sklepów, fabryk w podwórzach z kominami strzelającymi w górę. Reymont słusznie zauważył, że Piotrkowska „od Gajerowskiego Rynku aż do Nawrot jest fabryczną, od Nawrot do Nowego Rynku — handlową". Piotrkowska przedstawiała jedyną, dogodną arterię transportową. Boczne uliczki, przeważnie nie brukowane, nie nadawały się do przejazdu. Tędy najchętniej jeździli dorożkarze i wozacy, stangreci fabrykanccy. Tramwaju jeszcze nie było. Piotrkowską przewożono wielkie ciężary, drewno i węgiel dla fabryk, materiały przemysłowe, cegły, żywność ze wsi do miasta. Narzekali mieszkańcy, że ulica za ciasna, że chodniki przeładowane różnego rodzaju słupami, że przechodnie depczą sobie po piętach. Na Piotrkowskiej wszyscy się spotykali. Odcinek między ul. Dzielną a Nawrot był ulubionym miejscem spacerowym, „deptakiem". Ten widok bardzo Reymonta uderzył i pisze o nim z pasją. Lecz widzi także nieporządki panujące na ulicy. Asfaltowe chodniki są „powybijane". Istotnie — asfalt był niepraktyczny, latem rozgrzewał się. Od 1890 r. władze miejskie rozpoczęły na Piotrkowskiej, na jej przecznicach i na ul. Spacerowej, zakładanie chodników z płyt kamiennych, dostarczanych z kamieniołomów kieleckich. Na dalszych ulicach używano kamienia polnego.

Cała główna ulica posiadała już od 20 lat bruki, lecz z powodu wielkiego ruchu i ciężkich pojazdów wymagała dość częstego (co 2—3 lata) przebudowywania najbardziej zniszczonych odcinków. Dlatego jezdnia w okresach deszczowych była „pełna czarnych kałuż wody i błota". Reymont kilka razy pisze o rynsztokach, którymi płynęły brudne ścieki z fabryk. To prawda. Fabrykanci spuszczali nieczystości z farbiarni wprost do rynsztoków. Ulicami płynęła różnokolorowa woda mówiono, że z jej barwy można było wyczytać, co przemysł produkuje. Miasto nie było skanalizowane, nie posiadało wodociągów miejskich, o tym zaczynało się dopiero mówić. Magistrat nie przeprowadzał większych inwestycji, prezydent miasta, J. Pieńkowski lokował nadwyżki dochodów miasta w bankach carskich, za co otrzymał dyplom „dobrego gospodarza".

Ulice miasta oświetlały latarnie gazowe, były jednak rzadko rozmieszczone i nie dawały dostatecznego światła. Na wielu bocznych ulicach panowały ciemności. Gazowe oświetlenie nie docierało na ogół do prywatnych mieszkań, prócz pałaców i luksusowych czynszówek. W latach osiemdziesiątych zamożni fabrykanci zakładali oświetlenie gazowe w swych przedsiębiorstwach. Scheibler rozporządzał własną gazownią, Ludwik Meyer oświetlił gazem swą willę w Pasażu. Teatry „Thalia" i „Victoria" miały w połowie lat osiemdziesiątych oświetlenie gazowe, naftowe i świecowe. Reymont już widział oświetlenie elektryczne w teatrze i w hotelu „Victoria" a także w wielkich fabrykach. Na ulicach w r. 1896 nie było jeszcze lamp elektrycznych.

Były już w mieście telefony, założone w 1883 roku. W epoce „Ziemi Obiecanej" mogło być około 600 aparatów telefonicznych. Przewody zawieszono na słupach ustawionych wzdłuż Piotrkowskiej.

Reymont często opisuje domy i ich wnętrza. Jego opis zabudowy Piotrkowskiej zachwyca barwą i dynamizmem. W tych latach każdego obcego przybysza uderzały kontrasty głównej ulicy. Widziało się tu bogactwo, zmieszane z ubóstwem, obok pałaców — parterowe chałupki. W 1896 r. stało na froncie Piotrkowskiej jeszcze 40 drewniaków. Największe skupienie parterowych domków było w południowej części Piotrkowskiej. Wysokie, kapitalistyczne kamienice rozbiły jednostajną linię niskich domów. Niewiele kamienic posiadało określony, jednolity styl. Fasady ich eklektyczne, z elementami renesansu, empire'u, baroku i rokoka, czasem secesji, rzadko — gotyku. Niektóre mieszczańskie kamienice przeładowano szablonową dekoracją z gipsu, lecz tylko od frontu, od podwórza pozostawiono ściany gładkie, bez ornamentów architektonicznych. Elewacje kamienic oszpecano trójjęzycznymi szyldami, rozrzuconymi na dwóch kondygnacjach. Wnętrza domów były na ogół dużo skromniejsze niż ich fasady. Wśród tej mozaiki stylów pyszniło się na Piotrkowskiej kilka pięknych pałaców, posiadających luksusowe wnętrza. Ich budowniczowie brali nieraz wzory z najlepszych architektów włoskich. Reymont opisał kilka pałaców. Jednak trudno je zidentyfikować, gdyż pisarz dodaje jakieś detale architektoniczne, które skierowują badania na manowce. Najwyraźniej widzimy pałac Heinzla przy Piotrkowskiej 104 „z płaskorzeźbą na frontonie, przedstawiającą przemysł". Mówi tu także o „prześlicznej żelaznej kracie". Dziś tej kraty już nie ma. Pałac Poznańskiego przy ul. Ogrodowej zdradza „wielka brama wiazdowa, prawie arcydzieło ślusarszczyzny".

Obraz Łodzi w „Ziemi Obiecanej" jest bardzo bogaty, a w przedstawieniu szczegółów, jak na powieść, dość wierny. „Ziemia Obiecana" jest zbyt wielkim dziełem, aby mogły obniżyć jej wartość niewątpliwe nacjonalistyczne potknięcia oraz niechęć pisarza do „cywilizacji przemysłowej" wielkiego miasta.

DOC. DR ANNA RYNKOWSKA

Marek Idziński szuka określonego typu pejzażu, „swojego" pejzażu jeżeli można użyć takiego sformułowania. Czasem jest to pejzaż stworzony ręką ludzką, najczęściej będzie to natura nie skażona, w swoim stadium pierwotnym, prawdziwa. Las zimą, ośnieżone gałęzie, nurt rzeki. Sitowie, snopy zboża, zachody i wschody słońca... zdjęcia robione często na dużych zbliżeniach, często pod światło, są pełne nastroju, liryzmu, ciszy, oczekiwania. Dramat i ekspresja nie mają tu prawa bytu. Wszelkie napięcia są głęboko ukryte i zaledwie przeczuwalne. W tej chwili panuje spokój, swoiste zawieszenie broni i ono obchodzi Idzińskiego. Poezja bowiem, której szuka i którą znajduje w naturze jest naturalnym przeciwstawieniem się braku poezji w życiu codziennym w świecie stworzonym przez człowieka. Czy mamy więc do czynienia z jakąś próbą ucieczki wynikłą z nieprzystosowania, niezgody? Raczej nie. Prędzej można tu mówić o chęci dania sobie i innym możności spotkania się ze światem, który powoli zapominamy, który coraz bardziej dla wielu z nas staje się światem wczorajszym, o próbie uzupełnienia. Dlatego nie znajdujemy w fotogramach Idzińskiego nie tylko dramatu, ale i żadnych prób personifikacji natury. Idziński uprawia fotografię od roku 1962. Debiutował na I Festiwalu Studenckiej Fotografii Artystycznej w Toruniu. Od tej pory uczestniczył w 12 wystawach. Jest laureatem kilku nagród i wyróżnień. **A.G.**

BIAŁA RAMPA

Dalszy ciąg ze str. 1

— A przedtem to pani chciała? — pyta złośliwie mała staruszka, która jest tu zupełnie z innych powodów, co podkreśla na każdym kroku: „ja posiadam nowotwór wprawdzie niezłośliwy, ale zawsze to poważna sprawa..." W odróżnieniu od innych tutaj „niepoważnych spraw".

Więc pocieszają się nieudolnie, chcąc usłyszeć ludzkie, miłe słowo. Mówią sobie te słowa, myśląc intensywnie o tym, co będzie za kilka minut. Przełykają ślinę suchym gardłem. I drżą, jakby im było zimno.

III.

Idzie. Pokurczona, zgięta wpół. Cienkie ma nogi. Koszula wystaje spod wiszącego niezgrabnie szlafroka. Zbliża się do łazienki. Wchodzi nie spojrzawszy w moją stronę. Sunie tępo do przodu. Drzwi wolno zamykają się same. Zdążyłam się usunąć. Siada na kozetce. Patrzy w posadzkę.

Podchodzę do umywalki. W lusterku widzę jak jej głowa wolno się podnosi. Grymas wysiłku, głos zmęczony:

— Do jakiego szpitala pani trafiła, pani wie?

— Do jakiego? — pytam.

Jęczy. Widzę twarz szarożółtą, brązowe powieki i pod oczami cień. Usta duże, bez koloru i konturu. Niedobrze z tą twarzą.

— Bardzo źle się pani czuje? — pytam chcąc przerwać te jęki.

— Ech! — macha ciężko ręką. Powoli głowa znów wsuwa się ku górze. Szyję ma długą i chudą.

— Tak, tak — współczuję i wzdycham.

— Ja tu dłużej nie wytrzymam!...

Jej głos staje się mocniejszy i wyższy:

— Pani sobie wyobrazi: boli, o zastrzyki, proszę, błagam, a oni nie zainteresują się nawet osobą.

Ciało jej skręca się nagle w gwałtownym skurczu. Trwa tak chwilę, wreszcie powolnym, pełnym wysiłku ruchem sięga do kieszeni szlafroka. Zapala papierosa, wciąga dym głęboko.

— Ile pani ma lat? — pytam.

— Ja? — dziwi się, że kogoś to może obchodzić.

Zastanawia się chwilę, jakby sobie przypominając i mówi zmęczonym do ostatnich granic głosem:

— Dziewiętnaście.

IV.

Już po wszystkim. Dziewczyna, która w zeszłym tygodniu umawiała się na dziś do lokalu, jest teraz chora z łóżka numer 57. Jest już właściwie zdrowa, bo przecież po w s z y s t k i m. Teraz śpi. Patrzę na jej biała, nieruchomą twarz z otwartymi ustami, szczuplejszą jakby niż wczoraj — i wiem, że gdy się obudzi, będzie starała się za wszelką cenę opowiedzieć mi wszystko, co pięć godzin temu przeżyła. Wiem dokładnie, co ona powie, słyszę wyraźnie jej głos:

— W białej sali siedziało dwanaście osób. Uśmiechali się do mnie troskliwie, jakby przepraszająco. Pomyślałam, że jestem ładna i na pewno zwróca na to uwagę. Każdy coś pomyśli... Ścisnęło mnie w gardle. Bałam się.

Dziewczyna poruszyła się lekko przez sen, jej wargi drgnęły. Szybki gest dłonią, mały wyraz tamtej bezradności:

— Poczułam się strasznie, jak przedmiot, jak nic. Coś rozerwanego, przeciętego na wylot. Głowę miałam tylko, reszty nie. Przestałam myśleć. Tylko powtarzałam sobie wkółko: nie jestem kobietą, nie jestem kobietą... Po badaniu kazali wyjść i poczekać na zabieg. Czekałam. Ręce latały mi dziwnie seriami niepotrzebnych gestów. Chodziłam po korytarzu tam i z powrotem, chyba z pięćdziesiąt razy. Nie myśleć. Przecież to tylko dziesięć minut. A co po tych dziesięciu minutach? Wszystko będzie normalnie. Tylko chwila. Tyle co wypalenie papierosa. Jedna szósta godziny. Więc przecież to krótko... Później nie będę tego pamiętać. Myśleć teraz o czymś innym. O czym? Co robi o n... Ach, nie, o n i m nie mogę, to straszne. Znajomi, pewnie już wrócili z pracy... Jaką sprawę wymyślić? Za przyszłą pensję kupię sobie coś, ale co, co ja potrzebuję, zaraz, nie, nie to, przecież przyjdą po mnie, przecież mnie zawołają, czy już, nie, teraz tak.

Uśmiecha się ledwie dostrzegalnie. Nawet w tym śnie ma świadomość, że już po w s z y s t k i m, że minęło. Już niedługo będzie mogła tańczyć w lokalu, zaczynać w s z y s t k o od początku. Ale wtedy, gdy tak stała w czerwonym spranym szlafroku pod siną, malowaną olejno ścianą, i kiedy szła już po nią młoda, energiczna pielęgniarka, cóż można jej było poradzić? Wyobrażam sobie, co ja bym powiedziała tej dziewczynie, idącej wolno korytarzem z opuszczoną głową: „Nie myśl o niczym więcej poza tym, że posadzka jest biało-czarna, że mijasz rząd okien, z których jedno jest uchylone, że pielęgniarka, która prowadzi cię jak korytarzem więziennym, ma bardzo jasne, w drobne loczki skręcone włosy — rejestruj te drobne rzeczy mechanicznie, aby tylko odpędzić myśl; od tego, co się stanie za kilka minut. Patrz: oto już sala biała i chłodna jak z przykrego snu, narzędzia lśniące metalicznie rozłożone na plastikowym stole, i ten wysoki fotel, na którym pomagają ci usiąść, troskliwie, z uważaniem, jakbyś była ze szkła".

A ona potem mi powie:

— Przywiązali ręce, nogi spięli metalowymi klamrami, pielęgniarka dotknęła chłodną ręka mojego czoła i wtedy podszedł lekarz, młody, wysoki, znienawidziłam go od razu. Druga siostra zrobiła mi zastrzyk dożylny w prawą rękę, bo w lewej nie było znać żyły, ale nim wyciągnęła igłę, już wiedziałam, że to nic nie pomoże, że wszystko będę odczuwała mocno, jak bez znieczulenia i bałam się tego okropnie. Poczułam się jak pijana, w głowie się zakręciło, zaczęłam źle widzieć, sufit rozmazał się w szarą plamę, ale to trwało chwilę, chociaż chciałam, żeby nie minęło. Przeszło. Nic nie będzie łatwiej. Poprosiłam, żeby jeszcze raz mi zrobili znieczulenie, ale oni się uśmiechnęli i siostra powiedziała, żebym była cierpliwa, bo to nic strasznego, ona sama to miała nie raz. Więc starałam się nie krzyczeć, nie jęczeć. Ale za każdym razem, kiedy czułam w sobie to coś ostrego, krzyk sam wylatywał ze mnie, jak krew i nie mogłam w żaden sposób go zatrzymać. Czułam się, jakby mi wszystko zabrali. Czułam że spadam w jakąś ciemność okropną i że nikt mi nie udzieli pomocy. Czułam wszystkie uczucia naraz, najmocniej, jak nigdy dotąd w życiu: wstręt, nienawiść, straszną złość, i pragnęłam litości. Jakby mnie ktoś strasznie zbił. Było już najgorzej. Krzyczałam, żeby sobie pomóc, żeby wiedzieć, że jeszcze żyję, że coś jeszcze mogę...

Dziewczyna drgnęła przez sen. Przestała na chwilę oddychać, jakby nasłuchując uważnie. I otworzyła oczy.

— Proszę pani — szepnęła, kiedy do niej podeszłam — to było coś... nie do opowiedzenia. Ale muszę koniecznie to pani opowiedzieć, niech pani tu przy mnie usiądzie. Więc najpierw, kiedy tam weszłam...

V.

Łóżko wysokie na kółkach. Obok cztery takie same. Na tych łóżkach kobiety.

— Do jutra — mówi jedna. Aby przez noc przeczekać. Jeszcze parę godzin do wieczora, potem zasnąć i rano do domu. Następna noc w domu.

Ta z numerem 57 leniwie patrzy na zegarek.

— Dopiero ósma, proszę pani.

— Tak. Wolno ten czas płynie. Każda godzina jak dzień długa. Nie ma co robić — wzdycha tamta (numer 56) i wyciąga z szafki piękne czerwone jabłko. Takie jabłka kupuje się mówiąc sprzedawczyni: „Niech pani wybierze ładne, bo to dla chorej..."

57 zastanawia się co robić. Przeczytała już wszystkie gazety. Wypiła przyniesiony przez matkę kompot. Na cukierki już patrzeć nie może. Papierosa może zapalić? Ale z łóżka nie chce się wyjść. Leżeć tak samo się nie chce. Nawet patrzeć nie ma na co — wszystko traci barwę w suchym jarzeniowym świetle.

Kobieta 56 siada na łóżku. No, nareszcie, zacznie się jakiś ruch. Odrzuca kołdrę. Nogi białe i krzywe unoszą się lekko. Uda przez chwilę widać. Są krótkie i szerokie. Stopy szukają kapci, palcami ostrożnie dotykając podłogi. Wreszcie. 56 wstaje. Jest niska. Ramiona ma proste, kwadratowe. Włosy spłowiałe, zielonkawe w tym idiotycznym świetle. Wokół zapadniętych oczu brązowy cień. Koszula na niej pognieciona, odstaje sztywno z tyłu, odsłaniając zgięcia nóg z błękitnym ornamentem żyłek. Ruszyła wreszcie, kolebiąc się niezgrabnie.

— Jabłko idę umyć — powiada. — Może pani coś trzeba?

Jest uprzejma dla wszystkich. Mówi niewiele. Przeważnie o tym, co akurat robi. Rano opowiadała o swoim życiu — że ma już syna siedmioletniego, że mieszka w nowym bloku. Niedawno się przeprowadzili. Mówiła, że wygodnie tam jest, i że będzie jej dużo łatwiej prać pieluchy i ubranka dziecka. Na kaloryfer powiesi i za pół godziny suche będą. Wiosną — latem na balkonie jeszcze prędzej. Wiatr suszy. Ona nie pracuje. Mąż w biurze siedzi.

Ten mąż w południe był z wizytą. 56 chodziła już godzinę przedtem po korytarzu, dreptała niecierpliwie, wypatrując współtwórcy s w o i c h trzystu dni. Przyszedł nareszcie. Pocałował w rękę. I taki dialog:

On:

— No, co z tobą? Jak się czujesz? Dobrze ci?

Ona:

— Mówię ci, okropnie. Tu strasznie mi się nie podoba. Rety, stale jacyś ludzie zaglądają. Łazienka jedna na cały korytarz. Ty pomyśl, Rety, jak ja się denerwuję. Bynajmniej nie przesadzam. Te siostry, salowe, to tak, wiesz... nieprzyjemne kobiety. Spokoju nie ma. Po nocach też chodzą. Spać nie dają. Ja tu do spania strasznie marny człowiek. Wiesz, tu mają nowotwory, choroby przeróżne. Rety, rety, ja tu nerwy stracę...

Tak mówiła jednym tchem wszystko, co do powiedzenia miała, a potem zapadła długa cisza. On rozglądał się uważnie dokoła. Powoli wyciągnął z teczki jakiś słoik, torbę jabłek, ustawił ostrożnie na szafce i zaczął się przyglądać tej 57. Siedział wszystkiego pół godziny, nie mówiąc już nic. Wreszcie przykrył swoją żonę kołdrą, obetkał szczelnie aż pod brodę. I poszedł.

Zakołysały się wiszące na drzwiach cztery czerwone szlafroki.

VI.

Rano, podczas mierzenia temperatury, budzą się wszystkie. Młoda dziewczyna z łóżka 57 i jej sąsiadka z 58, też młoda i z t y m s a m y m, leżą w milczeniu i przyglądają się gorączkowym poruszeniom kobiet z łóżek o numerach 56 i 55.

— Dostaniemy mleko? — pyta nerwowo 56, gdy tylko zjawiła się salowa.

— Nie wiem — pada odpowiedź niskim, zachrypłym głosem. — Ja nie będę, już fajrant, do Jadzi powiedzcie, Jadzia wie.

— Dobrze, spytamy Jadzi — odpowiadają prawie równocześnie 55 i 56.

Teraz niecierpliwie patrzą na zegarki. Co minuta, co pół każda sięga na stolik i podnosi do oczu swój mały żółty zegarek.

W drzwiach pojawia się pielęgniarka w biało-niebieskim mundurku.

— No? Dawajcie, dawajcie szybciej! — wołają 55 i 56. — Zagłodzicie, zamorzycie biedactwa!

— Nic im się nie stanie — uśmiecha się pielęgniarka. — Jeszcze jest trochę czasu. Za dziesięć minut przyniosę.

— Ale nie dłużej! Żeby się co nie stało!

Dziesięć minut. 56 jest bardziej nerwowa. Otwiera szafkę, wyciąga flaszkę spirytusu i pęk waty. Z szerokiego rozcięcia płóciennej koszuli wydobywa żółtą nabrzmiałą pierś z długą wyssaną sutką, która wygląda jak coś bolącego. Watę moczy obficie spirytusem i ten pęk przykłada do piersi i trze, naciera mocno swój maciczny cyc.

— Pani da spokój — mityguje ją 55. — Bo się jeszcze Ewunia upije...

— Ja tam wolę mieć zdezynfekowaną — odpiera twardo 56. — Żeby mi dzieciak jakiej zarazy nie złapał... Ja się, proszę pani, za długo z tym rodzeniem męczyłam, żeby teraz dzieciaka zmarnować. Trzydzieści dwie godziny. I jeszcze mnie tam porządnie rozbechtali...

Dziewczyna z łóżka 57 słyszy to i mocno przygryza wargi. Mówiła przecież do mnie:

— Proszę pani, to co przeżyłam przez te 10 minut, to było potworne. Aż trudno uwierzyć, że to ja przeszłam...

Jej d z i e s i ę ć minut. Ona teraz nie może sobie wyobrazić tych trzydziestu dwóch godzin. Dzień, noc i dzień.

— Ja rodziłam wszystkiego pół godziny — wtrąca pulchna blondynka z łóżka 55. — Ale to wcale nie znaczy, że się mniej nacierpiałam. Bo u mnie było inaczej. Co inne kobiety przechodzą przez parę godzin, ten cały ból, jak dziecko przesuwa się w dół, to u mnie szybciej i mocniej. Myślałam, że oszaleję. Teraz już zapomniałam. Szybko się zapomina. Tylko dziecko wyskoczy, to ulga ogromna. A wyskakuje to małe jak ryba z rąk. Plusk! I wrzask na cały szpital, krzyczy od razu...

Uśmiecha się ta p i e r w i a s t k a i kiwa głową w zastanowieniu.

56 nie daje za wygraną:

— Trzydzieści dwie godziny to jednak trochę więcej niż pół godziny, chociaż bynajmniej nie przeczę, że się pani mogła porządnie nacierpieć...

Dziewczyny z łóżek 57 i 58 zamknęły oczy, udają, że śpią. Trudno włączać się do takiej rozmowy — ze swoim bólem, liczonym na minuty.

VII.

Wnoszą dzieci. Maleńkie białe zawiniątka. Wyciągnięte gestem pełnym głodu ręce matek. Do siebie. Do siebie. Białe, obłe paczki. Wyglądają z nich dziwne stwory z czerwonymi bryłami główek i ciemną plamą otwartych ust. I nos to ma i oczy, chociaż nic nie widzi. Tamte dziewczyny młode przyglądają się. To co widzą wcale nie jest miłe. Ale żyje, żyje.

— Ewa, Ewuniu, popatrz, tu cycuś, no jedz sobie, nie śpij, słyszysz? Uważaj, trzymaj, pamiętaj, Ewa, Ewusia — mówi 57 do swego przedmiotu ruszającego się trochę. W oczach ma mękę napracowania.

A ta druga, pulchniutka, od razu się zmienia. Ruchy delikatne, miękkie, jasna twarz jak ze świętego obrazka. Pochyla się nad swoim, ręką włosków rzadkich dotyka i szepcze:

— Mruczku ty mój, Mruczusiu, słodka moja...

Wtedy 57 nie wytrzymuje. Wstaje szybko z łóżka, narzuca szlafrok i na korytarz. Zapala papierosa, choć jeszcze śniadania nie było. Wargi jej drżą.

— Niech się pani tak nie przejmuje — pocieszam ją. — Za rok albo dwa możecie się spotkać w tym samym miejscu, a role będą całkiem inne. Nigdy nie jest za późno...

Dziewczyna patrzy na mnie przez chwilę i nagle śmieje się głośno.

— Jasne! To przecież jasne! Na to nigdy nie jest za późno. Tylko tymczasem się od tamtych różnię, a za rok albo dwa...

Smutnieje nagle. Idzie wolno korytarzem przed siebie. Myślę, że nic już nie powie. Ale mówi:

— Tylko że... tak naprawdę... to ja wcale bym tego nie chciała.

SANDRA GAGANASZWILI

JAN BĄBIŃSKI

Gra w anilanę

Swego czasu zastanawiałem się na łamach „Odgłosów" dlaczego wyroby z anilany nie spełniają pokładanych nadziei.

Ekspedientka powiada: — To bluzka z anilany... Klientka zaś widzi już z daleka, że towar raczej lichy. No i problem po swojemu upraszcza. Widocznie anilana zła, skoro bluzka z niej niedobra. Klientka ma prawo nie wiedzieć, że droga anilany do gotowego wyrobu wiedzie przez wiele fabryk. Ale fachowcy chyba wiedzieć powinni. Dlatego z niemałym zdumieniem przeczytałem w jednym z ostatnich numerów „Odgłosów" list inż. Jerzego Kossakowskiego. Dlatego list ten wprawił mnie w zdumienie, że całą prawie winę zwalał na widzewskie zakłady „Anilana". Z listu można się było domyślić, że to Widzew winien, jeśli krajowe bluzki jeszcze „niekomisowe". Przędzalnie mają z widzewskim włóknem same tylko kłopoty. To włókno nie dorównuje ani produktom angielskim, ani francuskim, ani nawet japońskim. Jest do chrzanu. Szmelc i basta.

Czy naprawdę? Mam co do tego wątpliwości. Mam zgoła pewność, że tak nie jest. Mam również na to dowody. Leżały przede mną na stole. Początkowo sam byłem skłonny przypuszczać, że padłem ofiarą mistyfikacji. Może wszystkie te swetry nie — swetry zakupiono w łódzkim komisie? Ależ nie. Na każdej bluzce widniał krajowy stempel fabryczny, z adnotacją „100 proc. anilany". Więc jakże? Czyżby wszystkie te swetry, bluzki, żakiety, kamizelki o wspaniałym, miękkim, jedwabistym chwycie, o przepięknych, żywych kolorach były naprawdę krajowej produkcji? Nie wierzyłem własnym oczom, jestem z natury sceptykiem. A jednak, to były nasze, krajowe wyroby. Odetchnąłem. Więc gorsi nie jesteśmy. **I my potrafimy produkować towar znakomity, na światowym poziomie, towar, który bez większego trudu bierze najwyższe bariery celne.**

Istotnie, żadna bariera nie może się oprzeć wyrobom z widzewskiej anilany.

Widziałem bogaty zestaw męskich swetrów z anilany zakupionych przez importerów kanadyjskich. Także przez innych kupców w różnych częściach świata. Te cuda były dziełem Legnicy, Sosnowca, Bartoszyc, Opola, Cieszyna... nie małych spółdzielni pracy, lecz były dziełem wielkich dziewiarni przemysłu kluczowego. **Produkowano je w skali przemysłowej. Prawie wyłącznie na eksport.** Sam bym kupił od razu 3 anilanowe swetry, gdybym mógł. Ale nie mogłem. Były już zakontraktowane. Na pniu.

Czym to wszystko wytłumaczyć? **W łódzkich sklepach pełno bluzek z anilany o nieprzyjemnym, szorstkim uchwycie, bluzek wykańczanych XIX-wieczną metodą — „na podwinięcie", pełno bluzek o brzydkich, brudnych kolorach i nieciekawych fasonach, a jednocześnie w innych miastach tego kraju wytwarzane są z tejże anilany artykuły najwyższej, światowej klasy. Dlaczego jedna bluzka jest twarda jak wysuszone drewno, druga puszysta jak jedwab — choć obie z identycznego surowca?** Proszę mi wierzyć, daleki jestem od wpadania w zachwyt, ale te sweterki z Legnicy to jednak była znakomita klasa. Więc czym te różnice wytłumaczyć? Gdyby przyjąć tok rozumowania jednego z inżynierów, gdyby założyć, że widzewska anilana jest po prostu nieporozumieniem, wówczas wszystkie bez wyjątku wyroby z anilany powinny być kiepskawe, mierne, wręcz nędzne. Z piasku bicza nie ukręcisz, zły surowiec wyjściowy to towar do niczego.

Fakty temu przeczą. Kto nie wierzy mi na słowo, niechaj ruszy w Polskę. Niechaj wpadnie do Legnicy, Cieszyna, niech koniecznie zawadzi o Sosnowiec, gdzie anilanę przerabia się na przędzę. Jaką przędzę! Warto. Po drodze łatwiej będzie wyzbyć się kompleksów. Jest oczywiście prawdą, że i widzewska „Anilana" przeżywała dni różne. W pierwszym okresie było ciężko. Nawet było bardzo ciężko. Nie łudźmy się. To mało kupić za dolary licencję „Courtaulds'a. To mało sprowadzić maszyny i ustawić je według rysunku w zautomatyzowane linie. To mało siąść na stołku przy pulpicie sterowniczym. O wiele trudniej opanować to, co Anglicy nazywają „know how" — wiedzieć jak. To już całe misterium wiedzieć kiedy nacisnąć który guzik. Istnieje pewien rodzaj tajemnej wiedzy technicznej, której nikt nie nabędzie na żadnej politechnice. To tak zwana praktyka, na którą składa się nie wysługa lat, ale refleks, zdolność kojarzenia, inteligencja, szybkość w podejmowaniu decyzji, w ogóle charakter pracownika. Nawet dyplom to jeszcze nie wszystko. To w pewnych wypadkach nawet nie początek. Grubo się bowiem myli, kto sądzi, że praktyka to skondensowana rutyna. To często właśnie improwizacja.

Dużą fabrykę akrylowego włókna „Courtaulds" wybudował także w Calais. Francuzi mordowali się przez dwa lata, nim opanowali wszystkie tajniki tej nowej dla nich produkcji. To o czymś mówi. Inżynierowie francuscy należą do najlepszych, najbardziej wszechstronnie wykształconych w świecie. Dlatego między innymi angielskie firmy tak chętnie idą na współpracę z francuskimi. Nad Sekwaną nigdy nie brakowało świetnych inżynierów o błyskotliwym umyśle i wielkiej żyłce wynalazczej. **A jednak trwało dwa lata, nim wyprodukowali włókno o cechach widzewskiej anilany.**

Widzew też się mordował. Pierwsze miesiące przypominały gehennę. Włókno miało wady. To wszystko prawda. Ale to nieprawda, że anilana i dzisiaj ma wady, które ją dys-

ANDRZEJ MAKOWIECKI

GONIEC PROBLEM SPOŁECZNY

— Kojarzymy go najczęściej ze szczupłą sylwetką chłopaka, który z obszarpaną teczką w ręce przebiega ulice, żeby donieść na czas pocztę, prasę poranną czy też urzędowe dokumenty.

1.

Źle z naszą wyobraźnią. Obok obszarpanych gońców, którzy wzbudzają litość, w powszechnym mniemaniu, są czymś w rodzaju służki (i to służki nie jednego pana, a stu!), wynieś, przynieś, pozamiataj, i nie trzaskaj, cholero drzwiami! — są także gońcy w eleganckich, modnych wdziankach: dziewczyny w mini-spódniczkach, butach wymyślnych z komisu; chłopaki w stylu „The beatles".

Znam gońców, którzy — w trudnych chwilach życia — poszli do pracy, żeby kończyć szkołę.

Znam gońców, co poszli do pracy, i to w chwilach, bynajmniej, nie ciężkich — żeby szkoły nie kończyć, żeby, przeciwnie, zerwać ze szkołą, żeby powiedzieć matce: „Odczep się, teraz mam swoje pieniądze!"

Znam gońców, bez matek i ojców, którzy podjęli pracę, żeby wychować rodzeństwo.

Znam gońców, z matkami i ojcami, którzy zarabiali nieźle, ale dewizą ich było: „Niech się szczeniak od młodości przyucza — kto chce jeść, musi robić!"

I tak na przykład. W ciągu ostatnich dwu lat przez pewną instytucję naukową przewinęło się wielu gońców. Zmieniali się jeden po drugim. Jeden od drugiego był stroj niejszy, ten w kurtce zamszowej, tamten znowu w farmerach niebieskich z pieczątką na tyłku: „diabollo". To była istna parada gwiazd, do których nikt nie mówił „Wynieś!" albo „Przynieś!". Po papierosy dla szefa skakać musiała sekretarka. On; nie biegali po papierosy. Oni po prostu gubili co pewien czas dokumenty, listy, odbitki szczotek z drukarni; jeden podpisaną do druku broszurę wepchnął sobie do tapczanu, bo mu się odnieść nie chciało; no i wreszcie, kiedy się miarka przebrała, odchodzili kolejno w siną dal...

Inna znowu instytucja wydała gońca-milionera. Zupełnie jak w piosence Młynarskiego o skromnej, bladej gońcównie, która trafiła milion w toto-loto. Ale u Młynarskiego dziewczę przekazuje całą kwotę na fundusz zakładu. Nasz milioner natomiast, nie w ciemię bity, na drugi dzień po szczodrym uśmiechu fortuny ukłonił się pięknie, z fasonem, i poprosił o zwolnienie z pracy. Nie było go przez rok. Po roku zjawił się na moment. Po opinię. „Po co ci, przepraszam, po co panu opinia?" — zapytała sekretarka. „A bo szukam nowej pracy".

2.

W Wydziale Zatrudnień przy ulicy Wólczańskiej 49, w niewielkiej poczekalni dla młodocianych — jest tablica pod tytułem: Pomyśl, zanim się zdecydujesz. Wymalowane są też dwie głowy — dziewczyny i chłopca. Pod głową dziewczyny zaczyna się kolumna cyfr, obrazująca progresję zarobków gońca na najbliższych dziesięć lat:

Dziś goniec	— 800 złotych
Za rok goniec	— 800 złotych
Za dwa lata goniec	— 800 złotych.

Za trzy lata robotnik niewykwalifikowany — 850 złotych. Za pięć lat robotnik niewykwalifikowany — 1.200 złotych. Za dziesięć lat robotnik niewykwalifikowany — 1.500 złotych.

Pod głową chłopca również jest kolumna cyfr: ilustruje korzyści, jakie płyną z nauki zawodu:

Dziś uczeń	— 150 złotych
Za rok uczeń	— 320 złotych
Za dwa lata uczeń	— 600 złotych

Za trzy lata robotnik wykwalifikowany — 1.200 złotych.

Za pięć lat robotnik wykwalifikowany gr. VII — 2.200 złotych.

Za dziesięć lat robotnik wykwalifikowany gr. IX — 3.000 złotych.

Młodzi czytają to sobie, a potem, kiedy stają przed urzędniczką, kiedy trzeba się na coś zdecydować, kiedy pada pytanie:

— Co byś chciał robić?

Odpowiadają:

— Chcę być gońcem!

Dla młodych — odpowiedź na pytanie: „Co byś chciał robić?" brzmi: „Chcę być gońcem", innymi słowy: „chcę mieć pieniądze, od razu, bez zwłoki, bez nauki i terminowania".

3.

Łódzki Wydział Zatrudnień kieruje rocznie do pracy 800 gońców. Pierwszeństwo mają ci, którzy uczą się (lub przyrzekają się uczyć) w szkołach wieczorowych, i ci, którzy nie mogą się uczyć, których wyjątkowo trudne warunki zmuszają do natychmiastowego podjęcia pracy. Wiek kandydatów waha się między szesnastym a osiemnastym rokiem życia. Młodszych się nie przyjmuje, chyba, że pozwoli na to Wojewódzki Inspektorat Pracy. Starszych też się nie przyjmuje, w każdym razie: rzadko. Pierwszeństwo mają ponadto dziewczęta; dość często z tego przywileju rezygnują. 75 proc. gońców zmienia tryb nauki: porzucają szkoły dzienne przenosząc się do szkół dla pracujących. 25 proc. nie uczy się w ogóle.

Problem, któremu na imię „goniec", nie zainteresował, jak dotąd, socjologów. Nie wiadomo natomiast, ilu jest gońców ogółem. Nie wiadomo, ilu spośród 75 proc. (tych uczęszczających do szkół wieczorowych) kończy naukę. Nie wiadomo, ilu spośród 25 proc. tych, co nie chodzą do szkoły, zostaje robotnikami, a ilu woźnymi, ilu wchłania wojsko, ilu kończy karierę w więzieniu — bo i tak się zdarza, bo 800 złotych, to dużo dla szesnastoletniego chłopca, ale mało dla osiemnastoletniego męża, który ma żonę w ciąży.

Z.W. ogromne, wyrośnięte chłopaczysko, ma dopiero piętnaście lat. Chce być gońcem. Referentka Wydziału Zatrudnień, pani Józefa Dylewicz przeprowadza z nim wywiad:

— Dlaczego chcesz być gońcem?

Pokazuje jej obrączkę.

— Jesteś żonaty?

— Nie, mam narzeczoną.

— A ile ona ma lat?

— Dwadzieścia cztery.

— Co robi?

— Pracuje w szpitalu — mówi Z.W. i napuszył się: — Ma maturę i dwuletnią szkołę pielęgniarską.

— No dobrze — mówi referentka — ale po co się tak spieszyć z tym ślubem?

— Proszę pani — oburza się chłopak — moja narzeczona jest w piątym miesiącu. Muszę dać dziecku nazwisko.

4.

Wyciąg z karty rejestracyjnej Ryszarda O.

Ojciec nie żyje od roku 1963. Matka umarła w roku 1965. Siedemnastoletni Ryszard zgłosił się w Wydziale Zatrudnienia i poprosił o pracę, motywując tym, że ma na utrzymaniu dwie małe siostrzyczki. Jedna skończyła dwanaście lat, druga — dziesięć. Chodzą do szkoły podstawowej.

Referentka zaproponowała chłopcu, że pomoże umieścić dziewczynki w Zakładzie Wychowawczym. Nie zgodził się. Powiedział, że sam był w Zakładzie Wychowawczym. Że wie, co to dla dziecka zakład. I że wie, co to dla dziecka dom.

— Ja je sam wychowam — powiedział. — Tylko dajcie mi pracę.

Referentka miała pewne wątpliwości. Po pierwsze: co będzie z Ryszarda nauką? Ano, powiedział, że zrezygnuje z nauki, że zrezygnuje po to, żeby nie musiały rezygnować siostry. Po drugie: kto im wszystkim będzie gotował? Powiedział, że on sam będzie gotował.

— A co się z nimi stanie, jeśli się zakochasz i ożenisz?

— Ja się nie ożenię — powiedział. — Dopóki one nie pokończą szkoły.

Ryszard pracuje jako goniec w PKO. Znalazł tam życzliwą opiekę. Ze swoich braterskich obowiązków wywiązuje się bez zarzutu.

5.

Ale prawda o gońcach ma sto różnych twarzy.

— Pewnie, że może pan podać moje nazwisko i miejsce pracy — mówi Edward. — Zawód gońca mi się podoba, nie trzeba siedzieć w zakładzie, chciałbym mieć tyle pieniędzy, ile razy w czasie pracy byłem w kinie. Chodzę do ogólniaka, wieczorem, dlatego zwalniają mnie z roboty o godzinę, nieraz nawet dwie godziny wcześniej. Ale po pracy człowiek jest zmęczony, więc nie chodzę do szkoły. A jak już idę, to na jedną, albo dwie lekcje i potem pryskam. Mój

ojciec też nie ma szkoły, i żyje... W zakładzie wszyscy odnoszą się do mnie z szacunkiem. Dwa razy chcieli mnie zwolnić, bo zgubiłem kiedyś pracownicze bilety do teatru, a później nie przedłużyłem zwolnienia lekarskiego. W kaszę sobie dmuchać nie dam: jak mi ktoś powiedział, żebym przyniósł mleka ze spółdzielni, to powiedziałem, że po mleko może sobie sam podskoczyć, albo posłać własną córkę.

6.

— Jako goniec pracowałam prawie dwa lata — mówi Jadwiga M. Za pierwszym razem przerwałam pracę dlatego, że miałam dopiero szesnaście lat, a były wakacje i szkoda mi było lata. Potem pracowałam w spółdzielni X. Tam był kierownik, który się ciągle do mnie zalecał. Powiedział, że jak będę grzeczna, to wcale się nie natyram i podniesie mi pensję. Matka kazała mi odejść ze spółdzielni. Tak też zrobiłam. Od maja 1966 pracuję jako goniec w zakładach Y. Tu z początku było mi dobrze. Dostałam nawet zapomogę na ubranie i buty, a jak zakład zorganizował wycieczkę do Zakopanego, to pojechałam ze wszystkimi, i wcale nie musiałam płacić, bo płacił za mnie fundusz turystyczny. Ale w październiku zachorowała nasza sprzątaczka i wszystko zaczęło się psuć. Kazali mi nosić węgiel, palić w piecu, a jak podawałam herbatę, mówili że mam brudne ręce. Jestem tak zaganiana, że nie mam nawet czasu, aby trochę odetchnąć — jak nie kawa to mleko, jak nie papierosy, to gazety. W zakładach jest jeszcze trzech innych gońców. Ale mnie traktują najgorzej dlatego, że jestem z natury nieśmiała i nie umiem się odszczekiwać.

7.

W. P. M.S.
W Łodzi, dn. 30 maja 1966 r.
do
Prez. MRN — Wydział Zatrudnienia
w Łodzi

Zarząd Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Hurtu Spożywczego w Łodzi uprzejmie prosi o wydanie skierowania ob. Elżbiecie S. do naszego przedsiębiorstwa celem zatrudnienia jej w charakterze gońca.

Zaznaczamy, iż skierowana przez Urząd Zatrudnienia ob. Teresa S. nie zgłosiła się.
(podpis kierownika sekcji kadr)

Jak wynika z raportu, Teresa S. ma szesnaście lat. Ukończyła Szkołę Podstawową Specjalną. Ojciec — pijak-rencista. Matka nie żyje. Brat, 19 lat, w zakładzie wychowawczym. Drugi brat, siedemnastoletni, też w zakładzie. Ojciec, ze względu na swój nałóg, ma ograniczoną władzę rodzicielską.

Teresa S. stoi przed twardą, życiową koniecznością: musi w wieku lat szesnastu, zdać się na własne siły.

Teresa S. jeszcze nie przegrała swego losu. Latem 1966 r. pracowała jako goniec w Łódzkim Przedsiębiorstwie Ogrodniczym. Zwolniła się na własną prośbę. Później, też jako goniec, otrzymała pracę w Łódzkich Zakładach Przemysłu Papierniczego. Nie zgłosiła się. W lipcu, wciąż jako goniec, służyła Centrali Nasiennej. Zwolniono ją po dwóch miesiącach. W październiku otrzymała etat w Południowo-Łódzkich Zakładach Przemysłu Jedwabniczego. Czekali na nią parę długich tygodni. Nie przyszła.

Teresa S. jeszcze się mota, i pewnie jeszcze nie raz przepracuje dwa miesiące jako goniec. Potem — albo się zwolni, albo zgubi jakieś dokumenty, i zwolni ją zakład. I znów się zaciągnie „na gońca". Bo co można robić innego z dyplomem Podstawowej Szkoły Specjalnej?

* * *

Nie wiem, czy to prawda, że praca w „charakterze" gońca osłabia psychikę młodych ludzi, że spacza ich moralność, że stają się z czasem czymś w rodzaju nowoczesnej ciury, uległej, wyzutej z poczucia godności... I nie wiem czy to prawda, że to zajęcie jest dobrodziejstwem dla silnych, dumnych istot, które chcą się uczyć w wieczorowych szkołach, że tacy zawsze wyjdą na ludzi, i przekleństwo „przejściowego zajęcia" spadnie z nich jak zły sen.

Ale wiem jedno: w poczekalni dla młodocianych poszukiwaczy pracy słowo „goniec" powtarzają prawie wszyscy. „Chcę być gońcem, a jak nie, to będę prostytutką!" — grożą referentce dziewczyny. „Zostanę nożownikiem" — straszą chłopcy.

I to jest właśnie problem.

---

kwalifikują do dalszej przeróbki. Po cóż więc rozwodzić się nad tym co było? Po kiego licha wracać do historii i odkopywać zakopane już problemy? Czy nie lepiej zastanowić się nad przyczynami, które powodują, że pewne przędzalnie już rok temu radziły sobie całkiem dobrze z przetwarzaniem anilany na przędzę, a inne przędzalnie po dziś dzień celują do tarczy, celują i trafić nie mogą? Ręka drży, czy oko nie takie jak trzeba? Jest również prawdą, że swego czasu anilana nie była puszysta. Ale i to już historia. Przecież w drugiej połowie ubiegłego roku kilka przędzalni, także łódzka, otrzymały amerykańskie „turbostaplery".

To bardzo udane maszyny; które anilanie nadają tak przez kobiety cenioną puszystość, miękkość i elastyczność. Gdyby widzewska „Anilana" była jak angielski „Courtaulds" olbrzymim koncernem, wówczas włókno przerabiałaby u siebie na przędzę. Ale koncernem, nie jest. Więc to włókno przerabiają po swojemu, tak jak potrafią, łódzkie i te niełódzkie przędzalnie. Miejmy nadzieję, że te nowe, importowane urządzenia pomogą wszystkim łódzkim inżynierom w opanowaniu trudności z przędzeniem anilany. Działanie „turbostaplerów" jest niezawodne. W skrócie rzecz na tym polega, by jedną część włókna maksymalnie rozciągnąć i w tym stanie jakby zamrozić. Drugą część włókna poddaje się jakby dekatyzacji, kurczy się ją w czymś co przypomina parownik. Te dwie różne przecież części tworzą dopiero całość. Jedna część tej całości jest skurczona, druga natomiast za długa. Więc ta druga część wygina się i kurczy, aby dopasować się do części pierwszej. — To wzajemne przenikanie się nitek o różnym charakterze nadaje przędzy ową puszystość i jedwabistość w dotyku. Trzeba tylko wiedzieć jak. Bo nie zawsze anilana jest zła, tylko jej przerób za często nieodpowiedni.

Przędzalnie na południu kraju radziły sobie z nową dla nich produkcją nawet bez „turbostaplerów". Radziły sobie wręcz nad podziw dobrze. Dowód tego dał Cieszyn, Legnica w postaci bluzek i swetrów. Może więc pewne łódzkie przędzalnie poradzą sobie z anilaną po otrzymaniu „turbostaplerów"? Bo gdyby i teraz nie umiały sobie poradzić, to byłoby to ubolewania godne. Ejże... podkupili was tam na Widzewie, zakręcili, zaświecili i wmówili. Mną może i nie byłoby tak trudno zakręcić, ale wątpię, by ktokolwiek mógł wziąć na piękne słówka firmę Heineman z Nowego Jorku. A sam **widziałem na własne oczy prośbę tej firmy, albo inaczej ofertę, na zakup widzewskiej anilany. To jeszcze nie koniec. Firmy indyjskie są gotowe zakupić chociażby dzisiaj 400 ton anilany. Bardzo kuszące oferty nadeszły z Australii, Turcji, ba, nawet z ojczyzny włókna akrylowego z Anglii. Koniunktura na anilanę jest zaskakująca.**

Więc jakich trzeba jeszcze dowodów, że nie anilana zła, tylko nieumiejętni mistrzowie, którzy ją u nas przerabiają. Nie wszyscy oczywiście mistrzowie. Skoro tak wiele firm, i to renomowanych, chce zakupić anilanę, to widocznie włókno odpowiada światowym normom i parametrom.

Anilany jednak nie sprzedamy. Przynajmniej nie sprzedamy jej obecnie. Potrzebna jest w kraju. Byłoby nonsensem eksportować półfabrykat, a potem przepłacać za gotowe bluzki. W przyszłości eksport anilany może być jednak opłacalny. Na Widzewie montowana jest obecnie 3 nitka produkcyjna, gdzieś pod koniec 1969 roku ruszy 4 linia. **Wtedy Widzew będzie produkował 12 tysięcy ton anilany rocznie. Starczy na 33—34 miliony męskich swetrów.**

Rzecz jeszcze bardziej zastanawiająca.

Pewna firma amerykańska, która w zeszłym roku kupiła na Widzewie 2 tony anilany odpadkowej, prosi teraz o więcej. Prosi daremnie, bo odpadków Widzew już nie produkuje. Czy to jednak nikomu niczego nie mówi? W przeróbce wełnianych i bawełnianych odpadków Łódź jest na samym szczycie. Na pewno jest na Olimpie. Nie jest jednak na szczycie w przerobie normalnej anilany na normalne włókno. Tymczasem gdzie indziej w szerokim świecie pewne firmy doszły do mistrzostwa właśnie w przerobie nawet odpadków z anilany na zupełnie dobre artykuły branży dziewiarskiej. My potrafimy robić cuda, nawet na eksport, z odpadkowej wełny, oni robią te cuda z odpadkowych włókien sztucznych. Oczywiście nasz start był spóźniony. Przyznajmy się jednak do tego, a nie zwalajmy winy na sąsiada, bo nas rzekomo popchnął na starcie i wybił z rytmu.

Zjednoczenie Przemysłu Przędzalni Czesankowych wydało pod koniec ubiegłego roku interesujący katalog. Mieni się wszystkimi kolorami tęczy. Widziałem. To zestaw wybarwień jakie można zastosować przy anilanie. Oczywiście, jeśli się wie jak... Dlatego znamienne jest słowo wprowadzające do tego katalogu. Zjednoczenie pisze: — „Dotychczasowy sposób zamawiania przędzy odbywał się głównie na zasadzie prób lub na podstawie innych katalogów wełnianych przędz dziewiarskich. Ten sposób utrudniał odtworzenie odpowiednich wybarwień na przędzy anilanowej, której własności farbiarskie są zupełnie inne niż przędzy wełnianej...".

Dodajmy jeszcze, której własności przędzarskie są też zupełnie inne.

Dawno o tym wie Sosnowiec i wiele innych przędzalni. Tymczasem ktoś tam woli grać w odbijana piłkę. Nie my jesteśmy winni, tylko Widzew. A Widzew mógłby wskazać palcem na górę i szepnąć na ucho — to oni są winni... Jeszcze ktoś mógłby dorzucić, że owszem, ale winni są prócz tego dziennikarze, że bluzki niedobre, no i oczywiście cykliści. Wtedy koło ładnie by się zamknęło i można by już zgodnie zagrać w podawaną piłkę, więc zagrać w anilanę. Może jednak lepiej piłeczkę zostawić dzieciakom?

JERZY WALEŃCZYK

KORONKI PANA GLAZERA

Koronkarstwo to jedna z wdzięczniejszych, najbardziej subtelnych dziedzin tkactwa. To dziedzina wymagająca lekkości palców, wyczulenia, dotyku delikatnego, jest pracą nad kwiatami materiałów, niejako, nad strukturą dekoracyjną, ozdobną, wieńczącą część użyteczną, praktyczną, w codziennym znaczeniu tego słowa. Praktyczność koronek jest praktycznością innego rzędu, dla użytkowników kwalifikującą społecznie i estetycznie.

Koronki są dziedziną nieledwie książęcą. Stąd wprawdzie, stąd jakoś idą te genezy i tradycje.

Pan Glazer, kierownik Wytwórni Bielizny i Sukien spokojnie objaśniał.

— Wszystkim wiadomo doskonale, czym jest kobieta bez bielizny i czym jest kobieta w bieliźnie. My wychodzimy z tego samego założenia, ale musimy do tego założenia wrócić. Desusy damskie są tym, co porusza świat, jak powiedział Dante, a i nie tylko świat, ale i gwiazdy i inne planety — dowodził kulturalnie pan Glazer.

— Przyszła nowa moda i trzeba chodzić w nowym ubraniu, chociaż jesteśmy oddzieleni od starych znajomych, a może właśnie dlatego — powiedział pan komendant, mężczyzna przystojny, mocno akcentując ostatnie słowo.

— Niech pan tylko popatrzy. Sam cymes. Dziewczynie w tym musi sekundować miłość.

Pan komendant nachylił się.

— Miłość, miłość — sarknął.

— Hast ne mineralka — powiedziała pani Doktorowa chrapliwie w stronę bufetu, podając mu za chwilę szklankę wody sodowej. Pan Glazer ukłonił się.

— W tym pieścidełku — powiedział, unosząc w górę arcyjedwabny szczegół garderoby damskiej, misternie zdobiony koronkami — nawet tysiące grzechów kobiety staną się tysiącami cnót i zalet.

Pan komendant i Pani Doktorowa uśmiechnęli się z aprobatą.

— Pan Glazer to potrafi tak gładko — powiedziała.
Pan Glazer zacmokał.

— Was bedeutet das, Sunde?

Odezwał się głos z grupy widzów na wystawie.

— Co to znaczy grzech. Co to znaczy zaleta. A w ogóle liczby tysiąc nie należy pochopnie nadużywać. Liczba ta jest związana z ideą Tysiącletniej Rzeszy.

— Tak jest, — wyprostował się pan Glazer. — Tak jest, Herr Offizier.

— Grzech, pan Glazer, verstehen, ale niech pan wymieni jakąś inną liczbę, nie tysiąc, nicht diese melodie. Das ist etwas anderes. Tu o co innego chodzi.

— Ma pan recht, panie oficerze, — powiedział grzecznie pan Glazer.

— Ja, ja. — Zawiesił głos oficer.

Bielizna była cienka i zachęcająca jak powietrze w gorący dzień, tak, że każda kobieta w niej mogła wyglądać jak Ewa.

Istotnie, te desusy na wystawie zorganizowanej przez pana Glazera wyglądały arcyciekawie jak dla dam dworu, na cesarskim dworze nie pogardzono by nimi.

Pan Glazer zacierał ręce.

— Oko się samo cieszy do tych pieścidełek. I serce śpiewa wielki hymn radości.

Dostojnicy oglądali spokojnie eksponaty wystawy.

Byli olśnieni wspaniałymi wyrobami, bielizną delikatną, która była w owych latach prawdziwym delikatesem ciała, była jak prawda ciała, i ta wystawa w środku Getta i w środku wojny była jak fatamorgana wiotka i prawdziwa, była nieledwie zjawiskiem atmosferycznym i realnym przecież, realnym historycznie.

— Ale kto to będzie nosił? — powiedziała pani Doktorowa i natychmiast poprawiła się. — Niewielu.

Może jakoś to wszystko szczęśliwie przejdzie, myślano, przecież nie wszyscy stracili głowy.

Bielizna była rozrzedzona i wykonana arcypięknie, ponieważ sztuka koronkarska jest doskonałą sztuką, prawie sztuką eschatologiczną.

Pan Glazer, wielki mistrz sztuki koronkarskiej, oblizał koniuszkiem języka pełne wargi.

— Herr Offizier — powiedział w stronę wojskowego. — Pan pozwoli. Bo cóż jest kobieta? Stworzenie, które się składa z ciała i pięknej bielizny, czy to nieprawda? Ist nicht wahr? — zauważył poważnie.

Dostojne grono roześmiało się.

— Ja, ja. Pan Glazer ma ein gesund Humor. Zdrowy humor — powtórzył wojskowy, trochę zmiękł.

— Gdyby pan Glazer był w raju — zabrał głos komendant Rosenblatt — i przymierzył Ewie majteczki swojego wyrobu, sam Adam by nie wytrzymał. Jeszcze wcześniej pierwsi rodzice musieliby opuścić ogród rozkoszy.

I dzieje ludzkości potoczyłyby się inaczej. Sztuka pana Glazera wiele by potrafiła zmienić w tych dziejach.

Panowie i panie roześmieli się.

— To jest der höchste kompliment — powiedziała pani Doktorowa poważnie.

Pan Glazer spojrzał przelotnie w jej stronę. Doktorowa była piękną kobietą, blondyną, rodem gdzieś z Litwy. Z fenomenalnie ukształtowanymi biodrami, Wenus Getta, jej profil wskazywał na jakieś odległe koligacje z rysunkiem profilu Kurfürstów jakiejś linii nadbałtyckiej, oczywiście mogły to być również złudzenia. Pozycja Izraelitów tych stron zmieszanych ze szlachtą litewską i niemiecką nasuwała analogie w wysokim stopniu z typem aryjskim, tak jak go w owym czasie rozumiano w Niemczech. Dość powiedzieć, że była to kobieta wyjątkowa, której już sama obecność nadawała wysoką rangę zebranemu towarzystwu.

— Nawet wszelkie triecotage transparent nie są tym smakiem. Niemniej jednak pozwolę sobie powiedzieć: Dessous jest woalką bioder — oto nasza handlowa maksyma — powiedział głośno pan Glazer.

Najbliższe otoczenie zaczęło klaskać na znak uznania dla konceptu pana Glazera.

— Oto hasło Getta, godne stanąć w druku obok haseł pana prezesa Rumkowskiego — powiedziała Wenus stonowanym głosem.

Cisza zakłopotania opanowała grono wokół pani Doktor.

Pan komendant Rosenblatt udał, że nic nie słyszy.

— Herr Rumkowski jest sławny również genialnymi aforyzmami, ale to, co pani mówi jest jak gdyby ein bieschen zu viel gesagt.

— Królowa moda jest naszą wielką panią.

Pan Glazer ukłonił się grzecznie nie bez właściwej mu dostojności fachowca wysokiej klasy, którego sztuka godna jest stanąć, czego był świadom, obok paryskich konkurencji.

Oficer spoglądał powoli na eksponaty ze szczerym zdumieniem. Kształt jego polowej zieleni, przesuwający się na tle bieli nieskazitelnej, ukazywał dopiero teraz cały tragiczny chłód sukien i bielizny iście królewskiej. Biel ta z cechami bieli dostojeństwa i nieskazitelności przeciwstawiała się całą pasją kunsztu i elegancji potocznej nędzy Getta. Pani Doktor uśmiechnęła się dyskretnie, w jej oczach ogniskowała się przezorność lwicy i gdyby nieznaczne fragmentaryczne nerwowe manifestacje jej gestów, pomyślał oficer, jej aryjskość byłaby idealna.

— Jesteśmy na tym poziomie, że możemy sobie pozwolić na taką wystawę. To niezaprzeczalny przykład wysokiej kultury Getta, — podkreśliła, kto wie, czy kultura nie zaczyna się od bielizny, pomyślała.

Pan komendant Rosenblatt wyprostował się.

— Pani Doktor pozwoli, że moją opinią będzie, iż śmietnik jest stemplem kultury.

Oficerowi bardziej odpowiadała ta wersja. Nie chciał robić uwag na temat desusów i ich relacji użytkowych. Ten pomysł, aby w środku biedy urządzić absolutnie przepyszną wystawę, przepych delikatnisiów i cmokierów, na gust najbardziej wybredny.

— Ta wystawa jest niezależna od tego co się dzieje dokoła, chociaż to co się dzieje, wywołuje ją — powiedział powoli oficer.

Spojrzał w stronę pani Doktor nie bez cienia erotyzmu w głosie.

— Chodzi o możliwości eksportowe — powiedział pojednawczo pan Rosenblatt.

— Pan pozwoli sobie powiedzieć — zauważył pan Glazer — że pan prezes Rumkowski myśli o nas wszystkich i o wszystkim. Prezes Rumkowski jest wielkim ekspedytorem, — dodał ciszej.

Dostojne grono spoważniało, było cicho.

— Grand ekspediteur, — powiedziała cicho pani Doktorowa.

Chwila stwardniała jak amalgamat średniowiecznego alchemika, usiłującego stopić w jedną drogocenną formułę czas teraźniejszy i czas przyszły.

— Szkoda ludzi, — powiedziała pani Doktorowa.

— Herr Glazer, on ma kiepełe — aprobująco mruknął komendant Rosenblatt. On lubi takie klarowne mgiełki.

Pan Glazer przyglądał się swojemu dziełu spokojną, ciężką, lekko uniesioną brwią. Potem popatrzył w okno.

Nad niebem Getta powoli przewijały się chmury.

TADEUSZ GICGIER

TRYPTYK ŁÓDZKI

I

ULICA SREBRZYŃSKA

Tu z piekarni podmiejskiej pierwszy zapach chleba,
tu na rdzawym ugorze pierwszy kolec ostu,
pierwsza wiosna: w kałuży nagie ramię drzewa,
pierwsza podróż: gdy pociąg przejeżdżał pod mostem.

Tu za fabrycznym murem wiersz pisałem pierwszy,
koślawy jak bruk łódzki, który się potyka,
a rytm tamtego wiersza i następnych wierszy
dyktowała mi dawna Poznańskich fabryka.

I pierwsze bzy w ogrodach, i pierwsza dziewczyna,
na ust jej przypomnienie jeszcze usta cierpną...
Łódzka wiosno jak tamta, a przecież tak inna,
dziś myśli me z twych soków znowu siłę czerpią.

II

W ŚRÓDMIEŚCIU

Wieczorna burza. Grzmot ulicy,
a w górze drugi grzmot do wtóru.
W ostrym drażnięciu błyskawicy
dachy jak czarnych rząd kapturów.

Chodniki puste, bo ulewa
płatami stacza się z okapów.
Uliczne karłowate drzewo
chwieje w mym oknie czarną łapą.

Znów krótki błysk — i głębsza ciemność,
w której jak oddech deszcz szeleści...
Zbudzeni przyszli mówić ze mną
ci, co tu żyli, a odeszli.

Stawili się na odgłos grzmotu,
w mroku ich twarze widzę harde,
bo znów Piotrkowską idzie pochód,
trzaskają kule, pędzą szarże.

Deptali bruki tego miasta,
gdy blady świt przecinał gwizdek...
Chcą poznać czas, który dziś nastał,
i w nim odnaleźć swą spuściznę.

Cienie pradziadów. Wiele cieni.
Matka, co w ziemi. Matka — ziemia...
Stoją i patrzą na mnie niemi
i matka patrzy, której nie ma.

Burza odeszła. Niepodzielnie
panuje w mieście późny wieczór.
Oni są przy mnie — czy są we mnie?
To oddech ich — czy oddech deszczu?

* * *

W oknie swym stajesz, gdy miasto usypia,
patrząc nie widzisz, i nie rozpoznajesz
domów, ulicy, i kroków przechodnia,
co, przerażony nagle samotnością,
uchodzi przed nią. Trwasz nieporuszony,
Trwasz przypadkowy tutaj, nietutejszy,
obcy nawet dla siebie w tej godzinie.

Gdzie jesteś, gdzie cię rzuciła gonitwa,
na jakie wody i na jakie skały?
Tam widnokręgi rozcina krzyk ptaka,
światło źrenicę zwęża, pierś oddycha
szeroko, szerzej, pęka klamra żeber.

Czas się dokonał, wypełniła przestrzeń,
tym, że w nią wszedłeś, tym, że cię w niej nie ma.

III

DOM NA NOWYM OSIEDLU

Jeszcze nie zamieszkały w nim ludzkie oddechy.
Wiatr po schodowej przechadza się klatce,
przystanął: słyszy na półpiętrze śmiechy,
słyszy płacz dziecka, które śni się przyszłej matce.

W kuchni, gdzieś wyżej, brzęknęła pokrywa,
młoda kobieta rozstawia talerze,
poprawia włosy i męża przyzywa,
mąż staje przy niej, w ramiona ją bierze.

Chciałbym zatrzymać dla was jak najdłużej
ową nadzieję, która pachnie wapnem,
ufność i wiarę — bluszcz na świeżym murze —
tę, którą żyję. I tę, której łaknę.

Rys. M. Kapuścińska

Wokół nowej „OSNOWY"

W związku z ukazaniem się nowego numeru „Osnowy", redakcja „Odgłosów" zwróciła się do przedstawicieli świata naukowego i kulturalnego z prośbą o wyrażenie swej opinii o wymienionym wyżej Wydawnictwie, które stawia przed sobą ważne zadania integracji środowisk twórczych naszego miasta.

Oto uzyskane przez redakcję wypowiedzi:

ANTONINA KŁOSKOWSKA

Biografia Karola Hillera, pomieszczona w styczniowym zeszycie „Poezji" (1967) zawiera wzmiankę o jego studiach odbywanych na Uniwersytecie Łódzkim. Jest to pomyłka sympatyczna i symptomatyczna, świadcząca o tym, jak trudno w dwadzieścia dwa lata po wojnie uświadomić sobie, że na Uniwersytecie Łódzkim można było studiować cokolwiek dopiero od 1945 r. Rola Łodzi jako ośrodka intelektualnego jest dzisiaj oczywista dla opinii krajowej. Ukazują się tutaj czasopisma z dziedziny polonistyki, antropologii, socjologii i geografii o ogólnopolskim zasięgu i dobrej naukowej pozycji. Istotną lukę w wielostronnym rozwoju kulturalnym miasta stanowił dotąd brak lokalnego wydawnictwa periodycznego o ogólnym humanistycznym charakterze, które nie byłoby niejako eksterytorialne jak wymienione specjalistyczne czasopisma naukowe, lecz skupiałoby różne środowiska twórcze miasta i wiązałoby je z szerszymi kręgami miejscowej publiczności.

Ostatni zeszyt „Osnowy" z grudnia ubiegłego roku pozwala mieć nadzieję, że Łódź wreszcie takie czasopismo otrzyma. Publikacja zawiera zadatek współpracy przedstawicieli różnych specjalności, zapewnia należne miejsce łódzkim tradycjom kulturalnym i aktualnościom życia kulturalnego regionu, nie zamyka się przy tym w kręgu partykularnych zagadnień. Dobrze byłoby znaleźć w tym piśmie odbicie intelektualnej, artystycznej i społecznej problematyki miasta, różne jednak od mało refleksyjnej i efemerycznej z konieczności reakcji prasy codziennej, lecz selekcjonujące i refleksyjne, przybrane w trwalszą i ambitną formę.

Wydawnictwo o takim charakterze może wywrzeć cenny stymulujący wpływ na środowisko twórcze i na podnoszenie poziomu szerszych kręgów uczestników życia kulturalnego miasta.

BOLESŁAW LEWICKI

1-o — Dobrze, że została kwartalnikiem. Rocznik — to jest wydawnicze nic (chyba, że ma specjalne informacyjne funkcje, jak np. Rocznik Literacki lub przedwojenne Życie Sztuki). Typ tzw. almanachów literacko-krytycznych — a na taką postać stylizowała się dotychczas Osnowa — jest już chyba przeżytkiem. Tzn. można to wydawać, ale kto czyta coś takiego. A więc dobrze, że już nie almanach, ale normalny periodyk.

2-o — Periodyczna forma kwartalnika zobowiązuje wydawców i redaktorów. To nie może być już zbiór nie powiązanych żadną nicią wewnętrzną wierszy, nowel i artykułów kulturalistycznych. Kwartalnik — jak każde czasopismo, musi odbijać jakiś stały nurt życia. Życie miasta Łodzi i łódzkiego regionu — to jest tylko nazwa administracyjna, wzgl. szufladka etnograficzna. A więc nie to. Sprawy łódzkiego środowiska literatów zawodowych? to obchodzi tylko ich samych. Produkcja umysłowa łódzkich wyższych uczelni i instytutów? taka kumulacja tematów byłaby nie do zniesienia. I tu poważny problem: czego odbiciem ma być nowa Osnowa? Do jakiego czytelnika jest adresowana? Redaktorzy mają wiedzieć, czego chcą. Przeszło 20 lat temu byli w Łodzi tacy, którzy utworzyli zespół Kuźnicy — oni wiedzieli.

3-o — Słaba strona dawnej Osnowy — i tej nowej (mówię o numerze znaczonym datą: Grudzień 1966) — to kronika. Kronika i dział przeglądów są najmocniejszą strona Twórczości, Dialogu, Miesięcznika Literackiego — a także Życia Literackiego czy Polityki. Z czytelniczego punktu widzenia jest to najatrakcyjniejsza strona każdego periodyku. Ona odzwierciedla zasięg zainteresowań i szerokość horyzontów pisma. A w Osnowie? te kłopoty kół młodych poetów? śmiechu warte, ale nie warte uwagi. Niczyjej.

4-o — Osnowa jako ćwierćwartalny periodyk — to jest naprawdę duże wydarzenie. I duża szansa. Dla literatów, naukowców, krytyków i eseistów łódzkich, tych zwłaszcza, którzy wierzą w to, iż Łódź nie jest wyłącznie przedpokojem stołecznych redakcji i kawiarń. Dla tych, którzy wierzą, że Łódź jest poważnym ośrodkiem życia artystycznego i intelektualnego wymiaru samoistnego — jak tyle, tyle wielkich miast świata, które promieniują własnym światłem duchowym, choć nie są stolicami państw. Dobrze byłoby tej wielkiej szansy Osnowy nie zagubić.

ZOFIA LIBISZOWSKA

„Osnowa" w kręgach łódzkiej inteligencji twórczej zdobywa sobie coraz większe znaczenie i trwałą pozycję. Ostatni jej numer walnie to potwierdza. Jakie są główne jego zalety?

1) Charakter środowiskowy. W Łodzi pisarzami są w ścisłym tego słowa znaczeniu literaci i publicyści, ale środowisko humanistyczne naszego miasta obejmuje jeszcze wiele innych specjalności i ono zaprezentowane zostało także w piśmie poprzez artykuły naukowców oraz ludzi związanych z teatrem, filmem i sztuką. Odnajdujemy tu co najmniej dwa pokolenia twórców. To też ważne.

2) „Osnowa" ma luksusową szatę graficzną i cieplarnianą opiekę wydawniczą. Papier, czcionka (ale za dużo petitów!), okładka i kredowe wklejki — wykonane doskonale.

3) Szeroki wariant tematyczny i różnorodna skala prezentowanych form: artykuł, esej, fragmenty prozy, próbki poetyckie, grafika, bogaty dział recenzji i kulturalnej kroniki. Ten rozrzut uważam za słuszny. Trzeba się liczyć z temperamentami autorskimi i z aktualnymi ich zainteresowaniami. Dominuje tematyka regionalna, ale — jak widać — słuszną ambicją pisma jest nie tyle regionalizm, co prezentacja własnego twórczego środowiska kulturalnego i stworzenia dla niego możliwości oddziaływania poprzez drukowane słowo.

* * *

Mając w ręku grudniowy (1966) numer pisma, zastanawiam się nad jego przyszłością i dalszym rozwojem. Przede wszystkim redakcja musi zabezpieczyć sobie periodyczność i rytmiczność jego druku oraz — co najważniejsze — przystąpić do ściślejszego profilowania numerów. Nie powinny one ograniczać się tylko do składanki tematów i autorów. Problemy trzeba wysuwać, autorów zapraszać i poszerzać ich krąg. Redakcja inicjować winna spotkania i dyskusje na różnorodne, lecz określone tematy współczesnego życia, historii czy spraw społecznych i w ten sposób organizować humanistyczne środowisko łódzkie, grupować je wokół pisma, które stałoby się w całym tego słowa znaczeniu trybuną łódzkiej humanistyki.

RYSZARD STANISŁAWSKI

— Jest rzeczą wielce pocieszającą, że Łódź — drugie pod względem wielkości miasto w Polsce — będzie mieć wreszcie swój kwartalnik poświęcony sprawom sztuki i kultury. Sądząc po numerze, który ukazał się w grudniu 1966 r. — „Osnowa" zapowiada się obiecująco. Treść i układ tego numeru są wielce interesujące, zarówno pod względem materiału, jego różnorodności, jak i ciekawej szaty graficznej, co mnie — jako historyka sztuki — szczególnie interesuje.

Dobrze byłoby, gdyby to wydawnictwo zapowiadane jako kwartalnik mogło w przyszłości przekształcić się w miesięcznik. Nasze środowisko, prężne intelektualnie potrzebuje przecież tego, może się tego domagać.

Bardzo istotna jest sprawa właściwego rozdziału publikowanych materiałów w stosunku do różnych dyscyplin artystycznych. Zdaję sobie sprawę, że „Osnowa" poświęcona jest przede wszystkim problematyce literackiej, ale dobrze byłoby, gdyby omawiano także inne dziedziny sztuki (ostatni numer czyni to — zamieszczając materiały poświęcone plastyce). Chciałbym, żeby „Osnowa" zainteresowała się także muzealnictwem — mamy przecież unikalną galerię malarstwa współczesnego.

Wydaje mi się, że wielce niekorzystne byłoby ograniczenie „Osnowy" do problematyki tylko łódzkiej, a piszącego w niej zespołu autorów — do środowiska łódzkiego. Jeśli „Osnowa" zajmie się także problemami ogólnopolskimi i udostępni swe łamy przedstawicielom innych środowisk, to chociaż dominować w niej będą sprawy lokalne, będzie mieć szansę wejść w orbitę zainteresowania środowisk artystycznych i intelektualnych w skali krajowej.

STEFANIA SKWARCZYŃSKA

„Osnowa" może stać się jednym z czynników procesu integracji łódzkiej inteligencji twórczej i naukowej, choć nie jest i nie może być jedynym. Przełamanie izolacjonizmu międzyśrodowiskowego, jaki niekiedy jeszcze miał miejsce, jest przecież od dawna ambicją wszystkich pracowników kultury, a wzajemne kontakty przyniosły wartościowe rezultaty. Myślę tu przede wszystkim o tak licznych w Łodzi stowarzyszeniach naukowych, twórczych i kulturalnych, które wzajemnie służą sobie pomocą i doświadczeniami.

Kwartalnik, którego ideą jest zgromadzenie wypowiedzi pracowników kultury, zajmujących się wyjaśnianiem trudnych przecież spraw współczesnej sztuki, przyczynia się do umasowienia kultury, przeciwstawia się zamykaniu sztuki w wieży z kości słoniowej. Dzieje się to także z korzyścią dla nas samych, gdyż uwrażliwia nas na potrzeby społeczne, a co ważniejsze przyczynia się do tego, że poszukiwania twórcze i naukowe będą skuteczne społecznie.

„Osnowa", której pierwszy zeszyt właśnie się ukazał, przynosi problematykę regionalną, choć jednocześnie szeroką. To zachowanie równowagi pomiędzy regionalizmem, a problematyką ogólnopolską jest zresztą najtrudniejsze. Z drugiej strony trzeba nieustannie myśleć o zagadnieniach aktualnych i historycznym zapleczu. W moim odczuciu przeszłość kulturalna Łodzi jest niedostatecznie znana i ceniona; w ciągu tych stu lat swojej historii Łódź była świadkiem wydarzeń w kulturze naprawdę wielkich. Jakie to byłoby ciekawe pokazać choćby przeszłość teatralną naszego miasta, przypomnieć ludzi, którzy odegrali wielką rolę w kulturze Polski. Zresztą nawet to, co się dzieje aktualnie należałoby jeszcze silniej zaszczepić w świadomości społecznej. Mamy na przykład jedyne w Polsce muzeum sztuki nowoczesnej, lepiej znane poza granicami niż w kraju. Dlaczego nikt z naszych znawców sztuki nie zdobył się na przeprowadzenie dowodu, że łódzkie zbiory są rzeczywiście galerią sztuki nowoczesnej. Albo sprawa nowej łódzkiej opery...

„Osnowa", jak przypuszczam, może stać się precyzyjnym instrumentem eksponowania rangi osiągnięć kulturalnych Łodzi przynajmniej u nas, w kraju.

Rys. M. Chagall

Z wizytą u Nikifora

Działo się to w r. 1957. Ówczesny dyrektor Teatru Nowego, Kazimierz Dejmek, zdecydował, że wystawi głośną już wtedy na całym świecie, sztukę Fryderyka Dürrenmatta „Wizyta starszej pani". Dejmek miał wiele świetnych pomysłów i tamtego roku wpadł mu również pewien pomysł do głowy. Zaprosił do swego gabinetu Józefa Rachwalskiego (scenografa) i mnie (kierownika literackiego) i zagaił mniej więcej jak następuje: „Szanowni panowie! Mam zamiar zwrócić się do Nikifora, aby zaprojektował dekoracje i kostiumy do tragifarsy Dürrenmatta. Co panowie na to?" I nie czekając na naszą opinię, dodał: „Otóż bądźcie panowie łaskawi udać się do Krynicy, odszukajcie tam Nikifora, wyłuszczcie mu, o co chodzi i przywieźcie go do Łodzi, żeby na miejscu razem z nami popracował". Józio Rachwalski jest człowiekiem małomównym, więc — zdaje mi się, bo tego dokładnie nie pamiętam — nic wtedy nie powiedział, mnie zaś pomysł ten wydał się tyleż olśniewający, co niemożliwy do zrealizowania.

Wybraliśmy się tedy nocnym pociągiem do Krynicy. Z samego rana, zaraz po przyjeździe, udaliśmy się na poszukiwania artysty, którego adres nie był nam znany. Mieszkał on na peryferiach Krynicy, w małym pokoiku jako sublokator. Nie zastaliśmy go w domu, ale gospodyni wprowadziła nas do izby Nikifora i obiecała pomóc w dogadaniu się z nim, co — jak się niebawem miało okazać — wcale nie jest łatwe. Izba zrobiła na nas okropne wrażenie: brudna, dwie szyby w oknie zatkane dyktą, łóżko a raczej wyrko bez pościeli, słowem — lite ubóstwo. Gdy wreszcie Nikifor przyszedł, nie mogliśmy z nim w żaden sposób nawiązać dialogu. Nikifor prawie wcale nie słyszy i właściwie nie mówi. Jego bełkotliwe słowa rozumiała i to z trudem, częściej ich się domyślając, obecna przy rozmowie gospodyni. Zaproponowaliśmy Nikiforowi, aby namalował „najbogatszą kobietę świata", bowiem chodziło nam o sprawdzenie, czy ma jakieś wyobrażenia na temat bogactwa i zasobności, co przy pracy nad kostiumami do bohaterki Dürrenmatta, pani Zachanassian-milionerki, może mieć decydujące znaczenie. Wziął kartonik i za parę minut rysunek był gotów. Naiwny, szkolny rysunek, przedstawiający kobietę na tle morza i okrętu. Po długich i zawiłych próbach wyjaśnienia, co ten rysunek ma oznaczać, dowiedzieliśmy się w końcu: bogata kobieta pojedzie tym okrętem do Ameryki. Nikifor narysował jeszcze (a raczej namalował z własnej inicjatywy) portrety nas obu na jednym kartonie i zażądał za to 500 złotych. Bardzo szybko nauczył się wystawiać duże rachunki za swoje obrazy.

Oczywiście wróciliśmy do Łodzi „z pustymi rękami". Powierzenie Nikiforowi pracy scenograficznej do „Wizyty starszej pani" było kapitalnym pomysłem. Ale tylko pomysłem, niczym więcej. Muszę też wyznać, że wróciliśmy z Rachwalskim bardzo zdegustowani, a nawet przygnębieni. To pierwsze spotkanie z Nikiforem sprawiło na nas wrażenie tak przykre, że długo nie mogliśmy się z niego otrząsnąć.

Cała ta przygoda przypomniała mi się teraz, gdym wziął do ręki „Historię o Nikiforze" Elli i Andrzeja Banachów, opublikowaną w krakowskim Wydawnictwie Literackim. Książeczka ta, bogato ilustrowana, wydana na pięknym papierze i wydrukowana ładną wyrazistą czcionką, zawiera szczegółowy opis kariery, jaką zrobił nieznany niegdyś biedak i obdartus, a dziś znany w Polsce i poza jej granicami artysta — Nikifor Krynicki. Wystawy jego prac we Francji, Belgii i Izraelu, wzbudziły zachwyt. Zadaję sobie pytanie: jak to jest możliwe? Jak to jest możliwe, że te prymitywne, infantylne rysunki i malunki podbiły znawców i koneserów sztuki? Odpowiedź może być tylko jedna. Świat współczesny, zmęczony eksperymentami sztuki awangardowej, taszyzmem, pop-artem, eksperymentami sztuki często nieludzkiej, zatęsknił po prostu do prymitywu i naiwności. Jedynie tym da się wytłumaczyć powodzenie wystaw rysunków i obrazów dziecięcych. Jedynie tym da się wyjaśnić powodzenie krajowe i zagraniczne Nikifora. Czy dobrze to świadczy o Nikiforze, czy dobrze o jego odbiorcach?

Jestem pewny, że gdy przeminie moda na infantylizm i prymitywizm w sztuce, wszyscy o Nikiforze zapomną. Zastanawiam się tylko, czy nie wyrządzono mu krzywdy. Oczywiście, dzięki temu zainteresowaniu się nim, podniesiono go do stanu człowieczeństwa. Bo Nikifor żył przedtem w stanie opłakanym, żył jak żebrak, jak przybłęda — poniewierano nim i naśmiewano się z niego. Teraz jest artystą i jest człowiekiem. Posiada ludzkie warunki życia i pracy. Otóż nie wiem, czy stał się artystą, ale wiem, że stał się człowiekiem. I za to należy się wdzięczność Elli i Andrzejowi Banachom. Ocalili w Nikiforze człowieka i w tym największa ich zasługa.

A swoją drogą „Historia o Nikiforze" warta jest uwagi. Napisana żywo i bezpretensjonalnie, jest książką do czytania i do oglądania. Jest książką-dokumentem i dobrze, że ją tak starannie wydano.

Jan Koprowski

O nowym filmie Wacława Kondka

Fot. St. Śliskowski

MARIA KORNATOWSKA

Na figurce Madonny naklejono papier zawierający jakieś zrozumiałe tylko dla wtajemniczonych, linie i wyliczenia. Mała, drewniana tablica pokryta jest także skomplikowanymi wykresami. Stojący obok tablicy reżyser i operator mają miny wielce zafrasowane. Okazuje się, że tworzenie filmowe wymaga również biegłej znajomości matematyki i geometrii, zwłaszcza w przypadku filmu, którego realizacji jesteśmy świadkami.

Chodzi bowiem o film, w którym rytm percepcji podporządkowany zostanie rytmowi muzycznemu. Forma plastyczna i filmowa określona jest przez muzykę. Film realizuje znany plastyk łódzki Wacław Kondek w warszawskim Studio Miniatur Filmowych. Muzykę skomponował sam Fryderyk Chopin. I film nosi tytuł „Larghetto". Chodzi bowiem o larghetto z koncertu fortepianowego F-moll Chopina.

„Larghetto" jest już trzecim z kolei filmem Wacława Kondka, w którym artysta próbuje dać własną interpretację plastyczną utworów muzycznych, nadać niejako muzyce kształt materialny. Pierwszą tego rodzaju próbą był „Ondraszek", w którym kanwę muzyczną dla skojarzeń plastycznych stanowiła znana pieśń Hadyny.

Drugą — „Gore" według pieśni żydowskiego kompozytora Gebirtyka. Już francuska awangarda filmowa lat dwudziestych szukała możliwości wizualizacji muzyki, traktując zresztą nową sztukę jako muzykę oczu. Tego typu eksperymenty kontynuowane są na przestrzeni całych dziejów kinematografii. Na ogół jednak tworzywem plastycznym owych awangardowych filmów były kompozycje abstrakcyjne, najczęściej abstrakcja geometryczna. U Kondka natomiast tworzywem plastycznym są figurki ceramiczne. Pomysł wykorzystania figurek nasunął się artyście przy oglądaniu niektorych kronik filmowych, gdzie pewne kompozycje przestrzenne, zwłaszcza rzeźba znajdowały swój odpowiednik rytmiczny w komentarzu muzycznym. Rzeźba jest zresztą dla niego znacznie pełniejsza w wyrazie niż malarstwo.

Film, zdaniem Kondka, pozwala przedłużyć i rozwinąć możliwości wyrazowe tkwiące w sztuce plastycznej. Dlatego film bardzo go interesuje, aczkolwiek uważa się raczej za plastyka niż filmowca. W filmach kontynuuje on własną, bardzo oryginalną drogę artystycznych poszukiwań. Twórczość plastyczna Kondka jest zbyt dobrze znana, by trzeba się było nad nią szerzej rozwodzić. Obok plastyki wielką pasją artysty jest muzyka. I właśnie w filmach stara się połączyć te dwie swoje miłości.

Dźwięk, zdaniem Kondka, stanowi istotny element struktury filmowej. Trudno w pełni odebrac obraz plastyczny bez muzyki. Dowodem tego jest chociażby fakt, że nawet w okresie filmu niemego wyswietiano filmy z akompaniamentem muzycznym. Muzyka stanowić może źrodło inspiracji filmowej, inspiracji rytmicznej i skojarzeniowej. Tak więc w filmach Kondka muzyka określa zarowno formę jak i treść, a także rytm percepcji. Nigdy jednak nie są one ilustracją muzyki, raczej kompozycją skojarzeń plastycznych przez nią sugerowanych.

Do trzech razy sztuka — mowi Wacław Kondek. I dlatego „Larghetto" ma być ostatnim filmem z tej serii. U źrodła plastycznej koncepcji „Larghetta" lezy wizja konfliktu czarnych i białych klawiszy, które z czasem przeobraziły się w postacie czarnych diabełków i białych aniołków. Jest ich aż 388. Nadto w filmie występują jeszcze Madonna Radosna, Madonna Smutna, Chrystus Frasobliwy oraz sad w czterech porach roku. Figurki ukazują się w filmie jak gdyby na zasadzie szopki.

Interpretacja Kondka może wywołać zastrzeżenia ortodoksyjnych chopinologów jako że część drugą Koncertu F-moll uważa się tradycyjnie za pieśń miłosną poświęconą Konstancji Gladkowskiej.

Kondek poszedł jednak głębiej, doszukując się także i w tej kompozycji Chopina pierwiastków wywodzących się ze zrodeł twórczości ludowej. Ostatecznie, interpretacja muzyki jest rzeczą jak najbardziej subiektywną, a interpretacja Kondka wydaje się nam oryginalną i przekonującą propozycją.

„Larghetto" jest filmem animowanym w normalnym tego słowa znaczeniu. Zdjęcia robione są metodą poklatkową. W związku z tym realizacja jego jest bardzo pracochłonna. 3-tygodniowy okres zdjęciowy daje w rezultacie 9 minut projekcji. Okres zdjęciowy poprzedziła długotrwała praca przygotowawcza. W oparciu o partyturę muzyczną należało ustalić dokładny i szczegółowy scenopis. Dopiero na podstawie takiego scenopisu „robi się" figurki ceramiczne. „Robienie" figurek trwa około 3 miesięcy

I kiedy wszystko jest już gotowe zaczyna się kręcić film. „Kręci" osobiście Stanisław Śliskowski operator łódzkiej WFO, który współpracował z Kondkiem już przy realizacji „Gore". Sam plastyk, Śliskowski, świetnie czuje „ducha" twórczości Kondka i jak się zdaje, bardzo dobrze im się razem pracuje. Kamera w „Larghetto" jest szalenie ruchliwa, a ponieważ jak już powiedzieliśmy, rytm plastyczny ma być ściśle podporządkowany muzycznemu, ruchy kamery muszą zostać niesłychanie precyzyjnie wyliczone i wymierzone. Stąd zafrasowane miny realizatora i operatora, stąd owe dziwne wykresy, liczby, krzywe i kąty. Ruchliwość kamery kontrastuje ze statycznością figurek, co nadaje filmowi specyficzna ekspresję. Rezultat zobaczymy na ekranie. A z pewnością będzie to rezultat interesujący sądząc na podstawie poprzednich filmów Kondka.

Były to bowiem utwory oryginalne, bardzo konsekwentne w swej poetvce i koncepcji artystycznej. W twórczości i plastycznej i filmowej Kondka uderza przede wszystkim jej odrębność, niepodatność na aktualnie obowiązujące mody. Jego ludowość nie ma w sobie nic z powrotu do prymitywu. Jest po prostu forma bardzo indywidualnego widzenia świata, formą utrwalania tych wzruszeń, przeżyć i wrażeń, których w coraz wiekszej mierze i w coraz większym tempie cywilizacja współczesna raczy nas pozbawiać.

Wygląda to wszystko nader malowniczo. W zagraconej piwnicy, na długich polkach pod ścianą stoją rzędem czarne i białe figurki ceramiczne. Białe mają skrzydła, zdziwione buzie i melancholijne oczy — to aniołki. Czarne diabełki roześmiane są figlarnie. Na starym stole stoi piękna Madonna z Dzieciątkiem, za nią kilka desek imituje ścianę wiejskiej chałupy. A przed nią, umieszczona na specjalnych szynach, tkwi triumfalnie kamera filmowa.

KSIĄŻKI NADESŁANE

Leopold Staff — W KRĘGU LITERACKICH PRZYJAŹNI. LISTY, PIW, cena zł 60.

NO PASARAN! WIERSZE O WALCZĄCEJ HISZPANII, PIW, cena zł 10.

Violetta Szorc — SIEDMIOKRĄŻCY, W. Lub., cena zł 8.

Piotr Krzykalski — SZAROTKA, W. Lub., cena zł 10.

Tadeusz Urgacz — NARCYZ, W. Lit., cena zł 10.

ALMANACH MŁODYCH 1965—1966, Iskry, cena zł 12.

Włodzimierz Gałecki — JESZCZE RAZ PRZEZ ŻYCIE, W. Lit., cena zł 60.

Ewa Nowacka — ROK TRZECH CEZARÓW, Czyt., cena zł 10.

Władysław Rymkiewicz — WIDOK Z KSIĘŻEGO MŁYNA, W. Łódzkie, cena zł 15

Jalu Kurek — POSĄGI Z WIATRU, Czytelnik, cena zł 15.

Jalu Kurek — RZECZ NIEPODLEGŁA, Wyd. Literackie, cena zł 10.

KRONIKA Antytelewizyjna

MIESZANINY

Tym razem „Studio 63" przedstawiło utwory poetów Młodej Polski w sposób, cokolwiek odbiegający od typowej praktyki. Ponieważ był to okres szczególnej fascynacji górami, poprzestano na tekstach związanych z przeżywaniem ich piękna, z legendą o Janosiku. Nie poskąpiono ilustracji muzyczno-tanecznej i wokalnej, wzbogacając poezję występami zespołu góralskiego. Współcześnie z górami nazbyt się oswoiliśmy, nikt ich nie traktuje jak „chramu", jakże często, zwłaszcza jeśli chodzi o zbiorowe wycieczki, zachowujemy się dość barbarzyńsko. Może ta audycja cokolwiek zmityguje ceprów. Oby!

Zręcznie zmontowana krótkometrażówka Szymona Kobylińskiego „Miłość na stronie" zawierała nie tylko momenty poznawcze, ale i przypominała o pieczołowitości, z jaką wydawcy (i drukarnie, drukarnie!) powinny traktować książki.

* * *

Z festiwalu piosenki w San Remo pokazano tylko część pierwszą. Oczywiście, jest on organizowany na innych zasadach niż sopocki. Mimo to pewne porównania same się narzucają. Więc niech mnie wyręczy „Życie Warszawy".

Ktoś kiedyś nazwał festiwal sopocki — polskim San Remo. Otóż po sobotniej transmisji finału festiwalu w San Remo, można śmiało stwierdzić, iż nazwanie San Remo — włoskim Sopotem, wyrządziłoby ogromną krzywdę naszej letniej stolicy. To bowiem, co nam sprezentowano nie było ani festiwalem, ani piosenkarskim, było natomiast koszmarną paradą beztalencia kompozytorskiego i piosenkarskiego. Według zapowiedzi włoskiego konferansjera (o wiele klas był gorszy od Kydrynskiego), spektakl oglądało ponad 80 milionów telewidzów, co skłania do westchnienia, że jeszcze nigdy tak wielu nie cierpiało tak bardzo przez tak nielicznych.

Zawiera się w tej wypowiedzi niejaka przesada, ale wywołał ją nasz snobizm w różnych jego przejawach, w danym wypadku streszczający się w przysłowiu: „Cudze chwalicie, swego nie znacie..."

* * *

Styczeń to historyczny miesiąc, miesiąc Wielkiej Ofensywy. Wspominaniu stycznia był poświęcony nadany z Poznania, opracowany zaś wspólnie z Wrocławiem i Szczecinem, magazyn „Nad Odrą i Bałtykiem". Umiejętnie przerzucono mosty z przeszłości w teraźniejszość, pokazując i sprawy dnia bieżącego, przedstawiono liczne dokumenty, z których do najciekawszych należały płyty z meldunkami hitlerowskich korespondentów wojennych. To te dokumenty przypominają warunki, w jakich władze hitlerowskie zmuszały swoją ludność do ucieczki na Zachód, przypominają one o tendencji — niestety, skutecznie realizowanej — niszczenia wszystkiego, szaleńczej walki do ostatka. Nie ma powodu wdawać się tutaj w historiozoficzne rozważania, godzi się jednak skorzystać z okazji i przypomnieć fragment uwag Ericha Fromma („Szkice z psychologii religii"). Freudysta, ale przewartościowujący naukę mistrza, tak m. in. pisze o Hitlerze:

„Hitler zasadniczo odnosił się w sposób sadystyczny wobec ludzi, natomiast w sposób masochistyczny wobec losu, historii, „wyższej siły" natury. Jego śmierć przez samobójstwo wśród powszechnego zniszczenia jest równie charakterystyczna, jak jego marzenie o zwycięstwie — totalnej dominacji..."

Z rozważań zawartych w magazynie, warto zatrzymać się przy uwagach, dotyczących całkowitego zespolenia Ziem Odzyskanych z resztą kraju. Usłyszeliśmy mianowicie przypomnienie, że integracja nie oznacza niwelacji. Nadal cenimy i będziemy cenić te pozytywne fakty, te wartościowe odrębności, które świadczą o specyfice kulturalnej czy gospodarczej poszczególnych regionów lub miast. To chyba jasne, ale warto o tym przypominać, chodzi przecież o różnorodność form życia, najstraszniejsza bowiem i najjałowsza jest, każda monotonia. Dlatego nie mogę nie przytoczyć celnego powiedzonka Antoniego Słonimskiego: „Zupa z kotła nie powinna być ideałem ani w gastronomii, ani w kulturze".

* * *

Lope de Vegi „Nauczyciel tańca" (w przekł. Włodzimierza Słobodnika) to jedna z popularniejszych „komedii płaszcza i szpady" hiszpańskiego mistrza. Oglądaliśmy nawet kiedyś jej rosyjską ekranizację. W omawianym wypadku ta barwna sztuka miała za mało przestrzeni, a więc raczej warunki obiektywne sprawiły, że przedstawieniu brakło roztańczenia, bogatszej oprawy dla poszczególnych scen. Spośród wykonawców trzeba wyróżnić Hannę Bedryńską, Polę Rakse oraz wykonawcę roli tytułowej, Janusza Kubickiego. Nie uzyskał wyrazu humor tej komedii, choć zdawałoby się, że powierzono go fachowcom czyli takim aktorom jak Z. Zintel, Wł. Skoczylas. Reżyserował Roman Sykała.

Jan Huszczik

Jest mniej niż średniego wzrostu, schludnie odziana, uczesana gładko i nie rzuca się w oczy. Pozycję zawdzięcza raczej pracowitości, niż błyskotliwej inteligencji. Kto? Mowa o naszej współczesnej satyrze.

Ale i na bardziej imponującym tle twórczość Szymona Kobylińskiego uznać trzeba byłoby za zjawisko jenomenalne. Bowiem Kobyliński to nie tylko świetny rysownik, nie tylko jeden z najdowcipniejszych naszych rodaków. Więcej: Kobyliński to instytucja, to cały kombinat publicystyczno-satyryczny, który na skrawku tytułowej strony „Polityki" co tydzień waży się na tematy bądź zbyt trudne, bądź zbyt ryzykowne dla ludzi pióra.

Więc chwała Kobylińskiemu i pochwała „Iskrom", które wydały skromny (objętościowo zbyt skromny) zbiorek jego celnych i ryscwanych jakby skalpelem karykatur publicystycznych. Oglądając je — śmiejemy się. To dobrze — śmiech to zdrowie! Śmiejmy się jednak szybko, bo nie wiadomo czy nakładu tej książeczki starczy dla wszystkich.

— Aha, więc strój można zatrzymać, tylko dzwoneczki odpruć?

— W rubryce „zawód" podaję „przy socjalizmie"!...

— Nie wiem, dla którego z nas jest to komplementem, ale mam sławę łagodniejszego niż ty...

— No, a w zeszły wtorek, jak mi pozwolili, to byłem bardzo odważny!...

TERESA WOJCIECHOWSKA

MŁODZIEŻ W teatrze

Przed sześciu laty Łódź, jako pierwsza w kraju, podjęła akcję szkolnych abonamentów teatralnych. W pierwszym roku liczba abonamentów wynosiła około 16 tysięcy, w bieżącym — 40.660. Ponad 40-tysięczna rzesza młodzieży szkolnej cztery razy w roku przychodzi do teatru, zapoznaje się z dziełami dramaturgii polskiej i światowej, nabiera nawyku obcowania z aktorem, ze sceną.

Dwa razy do roku, z okazji rozpoczęcia i zakończenia sezonu teatralnego i roku szkolnego pisze się o akcji abonamentów szkolnych. Masowość tej akcji jest niewątpliwym osiągnięciem. Narzekanie obu stron: szkół na teatry, a teatrów na szkoły nie rozlegają się zbyt głośno. Czasem tylko...

Niedawno podczas szkolnego przedstawienia „Namiestnika" strzelono z procy kulką papierową na scenę. Jest to wydarzenie błahe w porównaniu do tego, które miało miejsce niedawno w Krakowie. Tam igła, wystrzelona z procy ugodziła aktorkę w policzek, która doznała porażenia nerwu wzrokowego. Pamiętamy jak przed paru laty Gustaw Holoubek zszedł ze sceny i przerwał przedstawienie oburzony zachowaniem młodzieży na widowni, pamiętamy jak Kazimierz Dejmek zdecydował zlikwidować przedstawienia abonamentowe, jeśli młodzież nie zmieni swego zachowania. Na przedstawieniu „Barbary Radziwiłłówny" aktorka została ugodzona w twarz ostro otwartym spinaczem biurowym, podczas jednego z przedstawień „Ślubów panieńskich", już w czasie pierwszej przerwy zebrano ze sceny garść takich spinaczy, panienka w białej bluzeczce skończywszy jeść jabłko, rzuciła ogryzkiem wprost w Kordiana, recytującego swój słynny monolog. I tak dalej i dalej.

Przedstawienia szkolne mają dwa repertuary. Jeden prezentuje teatr, drugi widownia. Ten drugi jest znacznie bardziej urozmaicony. Tupanie, gwizdanie, cmokanie (niech no się tylko aktorzy całują na scenie!) turlanie butelek po podłodze, strzelanie z procy, włączanie odbiorników tranzystorowych (szczególnie modne w czasie wyścigu pokoju, ale nie tylko), proszek do kichania i tak dalej i dalej. Pomysłowość młodzieży jest niezrównana. Nie chciałabym z tego artykułu robić poradnika.

Gdzie są wówczas nauczyciele? Na 30 biletów abonamentowych szkoła otrzymuje jeden bezpłatny dla nauczyciela, czy opiekuna. 30-osobową grupę na pewno można opanować i trudno sobie wyobrazić, by ekscesy takie odbywały się pod okiem dorosłych. Jeśli mają miejsce — znaczy to, że opiekunowie usadowili się w pierwszych rzędach pozostawiając wychowanków ich własnej inwencji i opiece boskiej.

Oto co mówi dyrektor **Antoni Makarski:**

— *Robimy wszystko, by na sali panował spokój. Na pierwszy akt mobilizujemy cały personel teatralny. Idę na salę i ja, wszystkie bileterki, nawet strażacy. Po pierwszym akcie wracam do siebie, a po chwili przybiega bileterka z wieścią, że na sali grają radia tranzystorowe.*

Teatry łódzkie mają wiele cierpliwości, wiele wyrozumiałości dla młodzieży. **Ponoszą trud organizowania przedstawień szkolnych w nadziei, że wychowają w ten sposób przyszłego widza,** że zaszczepią teatralny bakcyl w młodym, dorastającym pokoleniu. Ale aktorzy są rozgoryczeni.

Mówi aktorka **Ewa Zdzieszyńska:**

— *Być może, że w moim wieku ocena: „o jaka klawa dziwka" jest komplementem. Ale jednak wolałabym nie słyszeć go w czasie przedstawienia. Podobno mówi się, że na przedstawieniach szkolnych gramy gorzej, niż dla dorosłych. To nieprawda. Kiedy wygasa światło na widowni, a my na scenie, jeszcze za zasłoniętą kurtyną słyszymy tupanie, gwizdy i pokrzykiwania, cierpniemy ze strachu na myśl, co nas czeka. W takich warunkach naprawdę jest trudno osiągnąć szczyty aktorskich możliwości.*

Mówi dyrektor i aktor — **Feliks Żukowski:**

— *Na pewno nie gramy na przedstawieniach szkolnych gorzej. Ale doszedłem do wniosku, że czasem, w niektórych sztukach trzeba grać nieco inaczej. Na przykład w „Namiestniku" staramy się celowo unikać wszelkiego celebrowania, namaszczania, przeciągania pewnych scen, bo to wywołuje niewłaściwe reakcje. A w ogóle to uważam, że aktor musi mieć mocne nerwy, nie może się załamywać, przerywać przedstawienia, zwracać uwagi na wybryki jednostek. Musi widowni narzucić swój nastrój.*

Dość powszechna jest opinia, że lepiej zachowuje się młodzież liceów ogólnokształcących niż zawodowych, znacznie lepiej młodzież starsza niż młodsza. I tu sprawa bardzo istotna. Rozpiętość wieku młodzieży zbierającej się na sali teatralnej jest zbyt wielka. W tym sezonie dołączono do akcji abonamentowej siódme i ósme klasy szkół podstawowych. A więc 13-latki spotykają się w teatrze z 17-latkami, by oglądać to samo przedstawienie. Oto tytuły tegorocznych spektakli abonamentowych: „Kowal, pieniądze i gwiazdy" Szaniawskiego, „Pies ogrodnika" Lope de Vegi, „Straszny dwór" Moniuszki i „Namiestnik" Hochhutha. **Co najmniej trzy z nich są dla 13-latków nieodpowiednie.**

Nie chcę tu oczywiście kwestionować potrzeby zapoznawania 13-latków z teatrem. Jak najbardziej — niech chodzą. **Tylko na inny repertuar, na inne przedstawienia.** Bo nie można od nich wymagać, by z zapartym tchem śledziły akcję na przykład „Namiestnika", sztuki trudnej w odbiorze nawet dla dorosłych, albo żeby właściwie odbierały jej ideowy sens.

* * *

I tu przechodzimy na drugą stronę rampy. Sprawa repertuaru. To, co oferują teatry szkołom, **nie zawsze jest najwłaściwszą propozycja.** Weźmy choćby tego „Namiestnika", weźmy choćby „Kowala, pieniądze i gwiazdy" (choć tu szkoły miały do wyboru „Sen srebrny Salomei" — pozycję znacznie właściwszą i ciekawszą — dlaczego jej nie wybrały?). A gdyby cofnąć się do lat poprzednich, to też wybór niewielki. Teatry znają już widownię młodzieżową, znają gusty Kuratorium i nauczycieli, znają też ich propozycje złożone dwa czy trzy lata temu. **Planując repertuar powinny uwzględniać potrzeby tej ogromnej, przeszło 40-tysięcznej widowni. I uwzględniać też fakt, że jej część stanowią uczniowie szkół podstawowych.**

Nie wiem, czy teatry zwróciły uwagę na bardzo interesujące zjawisko. Dzieci w wieku przedszkolnym i pierwszych oddziałów szkół podstawowych są najlepszym, najwdzięczniejszym widzem teatralnym — przedstawień do nich adresowanych: bajek, teatrów lalkowych. Aktorzy wiedzą, że grać dla maluchów to prawdziwa przyjemność. Potem, w wieku lat około 10 przestają chodzić do teatru. Teatr gubi z pola widzenia swych bywalców, by odnaleźć ich dopiero w 7—8 klasie, na przedstawieniu abonamentowym. Ale jest to już widz zupełnie inny, mający za sobą „szkołę telewizyjną", kino, zespół big-beatowy itd. O teatrze zapomniał. A może raczej teatr zapomniał o nim i musi zdobywać go na nowo. **Brak repertuaru dla młodzieży — oto poważny mankament w ciągłości wychowania teatralnego.**

Mówi mgr **Tomasz Kozłowski** — przedstawiciel Kuratorium:

— *Odczuwamy poważny brak repertuaru teatralnego dla dzieci klas od czwartej do siódmej. Sztuki dla młodzieży to sprawa bardzo istotna i widać trudna, bo nikt się jakoś nią nie chce zająć. A jeśli tak, to może adaptacje powieści (świadczy o tym powodzenie „Ani z Zielonego Wzgórza" i „W pustyni i w puszczy"), może teatr młodzieżowy? Ten ostatni problem wciąż nie może doczekać się realizacji.*

* * *

Jednym z istotnych elementów, mających wpływ na zachowanie młodzieży w teatrze i na sposób odbierania sztuki **jest przygotowanie do przedstawienia.** W liceach ogólnokształcących poloniści poświęcają na ogół czas na to, by omówić przed pójściem do teatru problematykę sztuki, epokę, sylwetkę autora. W szkołach zawodowych, gdzie godzin na przedmioty humanistyczne jest mniej i w dodatku przygotowanie teoretyczne młodzieży słabsze — wprowadzenie takie ma miejsce znacznie rzadziej. Młodzież idzie do teatru nieprzygotowana, często nie rozumie sztuki, nudzi się, odbiera ją niewłaściwie. Ale ta właśnie chyba część młodzieży uważa wizytę w teatrze za katorgę i ciężki przymusowy obowiązek, a maksimum swej inwencji wysila na zorganizowanie teatralnych wagarów.

Niektóre szkoły (nie ma ich znowu tak wiele), w najszlachetniejszych intencjach, by zachęcić wychowanków do teatru, dopłacają do abonamentów z funduszów szkolnych, a uczniom wręczają bilety bezpłatnie. Być może czynią to wówczas, gdy słowa zachęty nie skutkują: jest to metoda ostateczna. Szkoły wierzą w działanie bezpośredniego kontaktu z teatrem. Ale może jednak lepiej nie zmuszać. Może raczej zachęcać, wyjaśniać, agitować. Może właśnie dla tych najoporniejszych organizować spotkania z popularnymi aktorami, znanymi z filmu, by mówili o teatrze, może wycieczki za kulisy, na próby, a potem dopiero na przedstawienie? A na razie tych paru, o których wiadomo, że będą się na widowni źle zachowywać — nie zmuszać. Dla dobra reszty młodzieży, aktorów i atmosfery przedstawienia.

* * *

Trzeba tu powiedzieć otwarcie, że sprawa abonamentów szkolnych jest dla nauczycieli kłopotliwa. Już samo zebranie pieniędzy (po 40 zł często od 600—700 uczniów), odbiór abonamentów, rozdzielenie wśród młodzieży — to prawdziwa buchalteria — dodatkowe zajęcie wobec wielu innych zajęć obowiązkowych. Nauczyciele nie sarkają na ten dodatkowy obowiązek, rozumiejąc korzyści, jakie płyną z akcji teatralnej. Mają jednak wiele uwag.

Mówi **Irena Soboniowa** — pedagog i członek komisji ustalającej repertuar przedstawień szkolnych, pracownik Okręgowego Ośrodka Metodycznego:

— *Zastrzeżenia budzą niejednokrotnie prelekcje wprowadzające do sztuki wygłaszane przed przedstawieniami. Ich poziom jest nie zawsze odpowiednio wysoki, by zainteresować młodzież i spełnić swe zadanie. Innym mankamentem jest zła widoczność i słyszalność w teatrach łódzkich. Na przedstawienia abonamentowe sprzedaje się wszystkie miejsca, tymczasem w ostatnich rzędach i niektórych miejscach balkonów nic nie widać, nic nie słychać. Nic dziwnego, że siedzący tam kręcą się i hałasują. Nie można też wymagać od nauczyciela, żeby siadał w ostatnich rzędach tylko po to, by uciszać uczniów. Te miejsca powinny być wyłączone ze sprzedaży.*

Moim zdaniem uczniowie szkół podstawowych nie powinni chodzić na przedstawienia abonamentowe, a przynajmniej nie powinni chodzić razem z młodzieżą licealną i na ten sam repertuar. Młodzież szkół licealnych oburza się na to zestawienie i domaga się łączenia jej z publicznością dorosłą.

Między dorosłymi zachowywałaby się na pewno nienagannie.

W zasadzie, my poloniści, nie traktujemy przedstawień abonamentowych jako warsztatu szkolnego. Naszym warsztatem były „Dziady", „Wesele", „Faust" i inne, choć nie były to przedstawienia abonamentowe. Chodziliśmy na nie z niewielkimi grupami uczniów, wówczas gdy wymagał tego przerabiany na lekcjach materiał.

* * *

Wszelkie przejawy teatralnego chuligaństwa powinny być tępione z całą ostrością, z drugiej zaś strony teatry intensywniej niż dotychczas powinny popracować nad doborem repertuaru szkolnego. Dla czterdziestu i pół tysiąca widzów warto! A może w przyszłym roku będzie jeszcze więcej? Chodzi o to, żeby ilość przeszła w jakość.

Wyniki konkursu „CZY ZNASZ LITERATURĘ ŁODZI?"

Ogłoszony w numerze świątecznym „Odgłosów" z ubiegłego roku konkurs pn. „CZY ZNASZ LITERATURĘ ŁODZI"?, obudził zrozumiałe zainteresowanie wśród naszych Czytelników. Wbrew oczekiwaniom redakcji, która zakładała pełną znajomość spraw Łodzi literackiej, okazało się, że otrzymaliśmy tylko niewielki procent odpowiedzi całkowicie trafnych. Spośród odpowiedzi trafnych wylosowano następujące nagrody:

I NAGRODA — aparat radiowy — OB. WANDA BORKOWSKA, Łódź, ul. Piotrkowska 117

II NAGRODA — patefon elektryczny „Bambino" — OB. PIOTR MATEJKOWSKI. Łódź. Wigury 8

III NAGRODA — radioodbiornik tranzystorowy — OB. STANISŁAWA SZAJKOWSKA, Mińsk Mazowiecki, ul. Polowa 20

IV NAGRODA — aparat do golenia elektryczny, OB. ANTONINA KLAJSZMIT, Łódź, ul. Findera 2

V NAGRODA — aparat do golenia elektryczny — OB. JANINA CZŁAPIŃSKA, Łódź, Staszica 23

VI — WYRÓŻNIENIE KSIĄŻKOWE — OB. ZUZANNA CIEŚLAK, Łódź, Staszica 23

VII — WYRÓŻNIENIE KSIĄŻKOWE — OB. J. Z. Czyż/Zelimir, Łódź, Tuszyńska 37.

O terminie wręczenia nagród redakcja powiadomi listownie.

Przewodnik po Ziemi Łowickiej

W przeciwieństwie do analogicznych wydawnictw zachodnich, czechosłowackich czy jugosłowiańskich, nasze prospekty reklamowe, wszelkiego rodzaju foldery i przewodniki turystyczne, baedeckery, katalogi, biuletyny i ulotki były i są nadal istnym popisem złego smaku, złego druku, złego papieru, tekstu, złego zdjęcia. Tam, gdzie cały cywilizowany świat używa najlepszych, najwymyślniejszych gatunków papieru we wszystkich jego barwach i odcieniach, najgustowniejszych i najróżnorodniejszych rodzajów czcionek drukarskich, gdzie inwencja i dowcip plastyka i fotografa idzie w zawody z pomysłowością układu typograficznego i wirtuozerią techniczną, gdzie wreszcie tekst jest równie interesujący, co rzeczowy i stylistycznie poprawny, my używamy najgorszego papieru, gazetowej czcionki, szablonowych fotosów i pseudonowoczesnych, chlapanych, ordynarnych w kolorze rysuneczków - ozdobniczków i tekstów pisanych — no, nie powiem, przez kogo. O układzie typograficznym lepiej nie mówić. Drukuje się to wszystko „jak leci". I tak życie tych wydawnictw krótkie, a funkcja ich niewielka — informacja czy reklama zaledwie. Dlatego odnotować należy każdą udaną próbę nadania wyżej wspomnianym wydawnictwom przyzwoitego wyglądu.

Ostatnio staraniem Wojewódzkiego Komitetu Kultury Fizycznej i Turystyki wydany został przewodnik po Ziemi Łowickiej. Zawiera on rzeczowe informacje ułożone w logicznym porządku. Pozwalają one zapoznać się z grubsza z historią i zabytkami regionu, z jego bogatym folklorem, z aktualną sztuką ludowych twórców. W tekście podane są adresy instytucji i placówek usługowych mogących przydać się turyście. Autorami jasnego i zwięzłego tekstu są S. Marat i A. Szram. Szkoda, że tekst wydrukowany jest tylko w języku polskim. A przecież odwiedzają nas ci i owi i to coraz częściej. Chyba, że zostaną wydrukowane obcojęzyczne wersje folderu. Pomijając ten brak, do brze się stało, że taki przewodnik ukazał się w ogóle. Województwo łódzkie jest szczególnie ubogie w tego rodzaju publikacje. Na opracowanie czekają inne równie interesujące regiony. To nie snobizm a zwykła konieczność.

A. GRUN

POLONICA

NOWY „ZWROT"

Wśród pięciu polskich pism ukazujących się w Czechosłowacji miesięcznik „Zwrot" jest jedynym periodykiem poświęconym literaturze. Od styczniowego numeru ten magazyn publicystyczno-literacki zaczyna ukazywać się w zwiększonej objętości i w nowym układzie graficznym. Powiększony zespół redakcyjny kierowany przez J. Rusnoka, do którego wszedł znany pisarz H. Jasiczek oraz młody grafik T. Berger, wprowadził wiele zmian, które rokują nadzieję, że „Zwrot" stanie się jednym z ciekawszych miesięczników literackich wychodzących w Czechosłowacji. Ambicją redakcji jest nie tylko uwzględnić miejscową problematykę społeczno-kulturalną, udostępniać swe plany zaolziańskim literatom, informować o życiu Polaków w świecie, ale też spopularyzować współczesną literaturę polską. Stąd w numerze styczniowym zamieszczono obok artykułów i utworów literackich miejscowych autorów również wiersze K. I. Gałczyńskiego i J. Ficowskiego oraz opowiadanie J. Andrzejewskiego.

(er)

DNI POLSKIEGO FILMU W PARYŻU

„8 stycznia 1947 roku odbyła się w odbudowującej się Warszawie premiera filmu „Zakazane piosenki" Leonarda Buczkowskiego (nestora kinematografii polskiej, urodzonego w roku 1900, który debiutował w roku 1928, a w 1966 roku ukończył dwudziesty film pt. „Marysia i Napoleon" — informuje francuski dziennik „l'Humanité". „Zakazane piosenki" były pierwszym długometrażowym filmem wyprodukowanym przez „Film Polski" pod ówczesnym kierownictwem Aleksandra Forda.

W dalszym ciągu l'Humanité" podaje, że z okazji tej rocznicy francuska Cinémathéque (Kinoteka) wraz ze Stowarzyszeniem Francja—Polska zorganizowała uroczystość „20 lat filmu polskiego".

Dni polskiego filmu pod wysokim patronatem Ministra Spraw Kulturalnych i ambasady polskiej trwać będą w ciągu stycznia, lutego i marca 1967 roku w salach Muzeum Kinematografii i Muzeum Pedagogicznego. Podczas dni filmu polskiego zostanie wyświetlonych ogółem około stu filmów m. in. takich znanych reżyserów jak Kawalerowicz, Munk, Wajda, Skolimowski.

POLONICA

SPEKTAKLE tygodnia

FILM

WŁÓKNIARZ		
ZACHĘTA	„Koty", 35 seansów	17875 — 8 %
	„Gamoń", 35 seansów	7670 — 7 %

TEATR

NOWY		
	„Kowal, pieniądze i gwiazdy", 2 spektakle	1400 — 100 %
	„Pan Drops", 4 spektakle	2400 — 90 %
	„Sen srebrny Salomei", 1 spektakl	500 — 75 %
MAŁA SALA		
	„Anioł na dworcu", 1 spektakl	200 — 100 %
	„Ojciec", 2 spektakle	300 — 75 %
	„Kartoteka", 2 spektakle	400 — 100 %
JARACZA w teatrze ROZMAITOŚCI		
	„Namiestnik", 6 spektakli	3720 — 98 %
7.15	„W pustyni i w puszczy", 2 spektakle	1266 — 100 %
	„Kłamczucha", 2 spektakle	842 — 100 %
TEATR ZIEMI ŁÓDZKIEJ	„Dobrze skrojony frak", 2 spektakle	842 — 100 %
	„Trudna miłość", 5 spektakli	1061 — 74 %
TEATR WIELKI	„Droga do Czarnonsu", 6 spektakli	1808 — 100 %
	„Straszny dwór", 2 spektakle	2552 — 100 %
	„Halka", 2 spektakle	2552 — 100 %
	„Książ Igor", 1 spektakl	1276 — 100 %

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

„FANTASTYCZNA PODRÓŻ"

■ Rok temu pisaliśmy o przygotowywaniu filmu pt. „Fantastyczna podróż". Film ten w reżyserii Richarda Fleischera, z Raquel Welch w roli głównej wszedł na ekrany paryskie budząc zainteresowanie widzów i przyciągając uwagę krytyki. Film nakręcony w Hollywood jest połączeniem sensacyjnej akcji w stylu „westernów", fantastyki naukowej, „kryminału" i filmu popularnonaukowego.

Akcja rozgrywa się w wieku XXI w niezidentyfikowanym kraju. Pewien uczony pracujący nad tajemnicą pomniejszania do wymiaru mikrobów wszelkich organizmów żywych, a więc i ludzi oraz przedmiotów, zostaje ciężko ranny. Wszelka normalna pomoc chirurgiczna jest niemożliwa. Wówczas to dla ratowania życia uczonego jego współpracownicy dokonują pomniejszenia siebie i swego ekwipunku (do którego należy łódź podwodna) i pozwalają się wstrzyknąć do organizmu profesora. Tu wędrują poprzez wnętrze jego ciała, aż do mózgu gdzie usuwają zagrażający życiu uczonego, skrzep krwi. Inspiracją pomysłu scenariusza „Fantastycznej podróży" stał się podobno stary, przedwojenny jeszcze comics, przeznaczony dla młodzieży, w którym uczeni pomniejszali ludzi, a ci odbywali niezwykłą podróż do wnętrza monety, zaznajamiając się z fantastycznym, choć całkiem przecież realnym światem atomów.

„Fantastyczna podróż" została rozmaicie przyjęta przez krytykę. Niektórzy stwierdzili, że film jest nudny, ale większość recenzentów uznała go za ciekawy. Recenzent „l'Humanité" podkreślił przy omawianiu filmu jego humanitarne tendencje, optymizm i wiarę w przyszłość człowieka. Nie ma nic piękniejszego niż życie — stwierdził przy końcu recenzji.

Film „Fantastyczna podróż" zrobiony został z wielkim nakładem kosztów finansowych. Zaangażowano do projektów dekoracji znawców anatomii i fizjologów. Zbudowano czterysta pięćdziesiąt makiet ilustrujących wnętrze człowieka. Jako materiał posłużyły szklane włókna, celuloza i plastyk. Nie barwiono ich, ale prześwietlano kolorowym światłem, co na ekranie robi specyficzne wrażenie, jakby promieniowały barwnie. Po raz pierwszy Hollywood sfilmował świat, który może być widziany jedynie za pomocą elektronicznych mikroskopów.

SOCJOLOGOWIE INTERESUJĄ SIĘ FILMEM

■ Pod kierownictwem Louis Chevaliera, profesora z Collège de France socjologowie, pisarze oraz dziennikarze filmowi zebrali się w Monte Carlo dla przygotowania specjalnej narady w Monaco, której tematem będzie „Film i cywilizacja". Narada ta zostanie zorganizowana przez Międzynarodowe centrum studiowania problemów człowieka. Siedziba centrum jest Monaco. W tym roku socjologowie posłużą się nowoczesnym środkiem dla poznawania niektórych aspektów współczesnych społeczeństw — filmem. Szereg krajów zostanie zaproszonych do zaprezentowania w Monaco filmów, których treścią jest życie codzienne, ich obywateli. Po każdej projekcji filmowej nastąpi dyskusja.

WOKÓŁ ŚMIERCI GARCII LORCI

■ Hiszpański poeta Rafael Alberti wniósł skargę sądową o zniesławienie przeciw jednemu z madryckich wydawnictw, które posądziło go o to, że pośrednio przyczynił się do śmierci Lorci, ponieważ w lecie 1935 roku czytał w madryckim radiu kilka wierszy wielkiego poety, w których Lorca sławił Republikę.

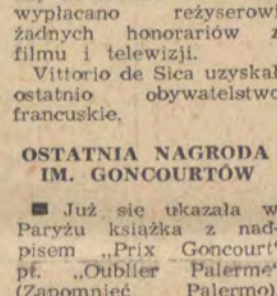

Rysował Federico Garcia Lorca. Rysunek pochodzi z pełnego wydania jego dzieł „Obras Completas".

Jak wiadomo, jeden z najbardziej utalentowanych poetów Hiszpanii, Federico Garcia Lorca (1898—1936) padł ofiarą terroru czy też zbrodniczej zemsty hiszpańskich faszystów.

ZADŁUŻONY VITTORIO DE SICA

■ Znany reżyser i aktor filmowy Vittorio de Sica winien jest państwu włoskiemu około 360 milionów lirów tytułem nie zapłaconych podatków. Takie oświadczenie złożył niedawno w rzymskim parlamencie włoski minister finansów. Minister wydał zarządzenie, aby na terenie Włoch nie wypłacano reżyserowi żadnych honorariów z filmu i telewizji.

Vittorio de Sica uzyskał ostatnio obywatelstwo francuskie.

OSTATNIA NAGRODA IM. GONCOURTÓW

■ Już się ukazała w Paryżu książka z nadpisem „Prix Goncourt" pt. „Oublier Palerme" (Zapomnieć Palermo), której autorką jest Edmonde Charles-Roux. Otrzymała ona w ostatnich tygodniach zeszłego roku tę najważniejszą literacką nagrodę jaka co roku przyznawana jest francuskim pisarzom.

Nagrodę przyznaje Akademia Goncourtów, złożona z dziesięciu pisarzy, a ufundowana przez Edmunda Goncourt (1822—1896). (Edmond de Goncourt i jego brat Jules, aż do momentu śmierci tego drugiego, pisywali wspólnie, a ich twórczość literacka wywarła znaczny wpływ na literaturę im współczesną. Obydwaj bracia zajmowali się też malarstwem).

Laureatka ostatnio przyznanej nagrody Edmonde Charles — Roux jest córką francuskiego dyplomaty. Wychowywała się we Włoszech. Podczas ostatniej wojny, jako siedemnastoletnia dziewczyna była sanitariuszką. Po wojnie, mieszkając w Paryżu, zajmowała się dziennikarstwem. Przez dłuższy czas była redaktorem naczelnym kobiecego czasopisma „Vogue".

Tematem nagrodzonej książki jest ukazanie kontrastów między życiem i psychiką ludzi z Sycylii, a stylem życia mieszkańców Nowego Jorku.

Bohaterka powieści Gianna Meri, która tuż przed wybuchem wojny opuściła rodzinną Sycylię, pracuje w Nowym Jorku w redakcji popularnego pisma kobiecego. Porównując dwa światy — urok tajemniczości i legend rodzimej Sycylii ze zmechanizowanym stylem amerykańskiego życia pośród bloków z betonu i szkła — Gianna ustawicznie je konfrontuje, szukając odpowiedzi na zasadnicze dla niej pytanie, gdzie jest jej właściwe miejsce i jaką naukę winna wynieść z tych przeciwstawień.

„Zapomnieć Palermo" jest powieścią o niemożności zapomnienia. Bohaterka nie zapomina o Palermo i nie może zapomnieć, ponieważ znaczyłoby to dla niej zapomnieć o własnej młodości.

ORYGINALNA LICYTACJA DZIEŁA PICASSA

■ Picasso przeznaczył jeden ze swych obrazów na licytację, z której dochód pójść ma na renowację dzieł sztuki, uszkodzonych przez powódź we Florencji.

Oryginalna ta licytacja odbywać się ma na dwóch kontynentach jednocześnie. Obraz pokazany w telewizji w Nowym Jorku zostanie przekazany za pośrednictwem satelity telekomunikacyjnego do Europy.

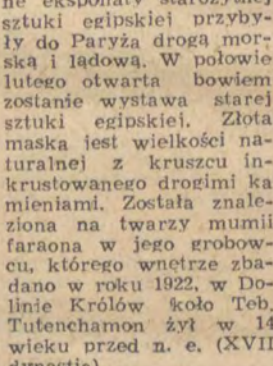

Obraz Picassa przedstawia leżącą, czytającą książkę kobietę. Płótno ma wymiary 1,92 m na 1,28 m. Widnieje na nim podpis Picassa i data 5. XII. 1960. Do tej pory obraz nigdzie nie był wystawiany. Wartość dzieła oceniają znawcy na 100—250 tysięcy dolarów.

ZŁOTA MASKA TUTENCHAMONA W PARYŻU

■ Drogą lotniczą sprowadzono do Francji złotą maskę Tutenchamona. Inne eksponaty starożytnej sztuki egipskiej przybyły do Paryża drogą morską i lądową. W połowie lutego otwarta bowiem zostanie wystawa starej sztuki egipskiej. Złota maska jest wielkości naturalnej z kruszcu inkrustowanego drogimi kamieniami. Została znaleziona na twarzy mumii faraona w jego grobowcu, którego wnętrze zbadano w roku 1922, w Dolinie Królów koło Teb. Tutenchamon żył w 14 wieku przed n. e. (XVII dynastia).

ALAIN ROBBE-GRILLET NAKRĘCI FILM „CZŁOWIEK, KTÓRY KŁAMIE"

■ Alain Robbe-Grillet, francuski powieściopisarz i reżyser, zamierza nakręcić, na podstawie własnego scenariusza, film pt. „Człowiek, który kłamie".

Film ten ma być zrealizowany w ramach współpracy filmowej czechosłowacko-francuskiej.

• • •

„Twice as Much" — Dawid Skinner i Andrew Rose są nowym odkryciem menażera Rolling Stones, Andrew Oldhama. Mick Jagger i Keith Richard, członkowie Rolling Stones napisali dla tego duetu piosenkę „Sittin'on a fence", która prędko znalazła się na listach bestsellerów. David i Andrew mają po 19 lat, debiutowali jako zespół będąc jeszcze uczniami średniej szkoły, jednak bez większego sukcesu. Dopiero kontrakt z Oldhamem i nagranie pierwszej płyty otworzyło im drogę do sławy. Następnym nagraniem, które ugruntowało pozycję duetu było „Step out of Line".

• • •

Walka o radiostacje piracki trwa. Zdecydowanym ich przeciwnikiem jest Paul Jones, który wstąpił do specjalnego komitetu, zwalczającego nowe stacje. Odmienne zdanie w tej sprawie ma Spencer Davis. Na falach wszystkich rozgłośni piracki nadawane jest jego przemówienie, w którym broni interesów małych wytwórni płyt i stacji nadawczych. Chociaż sam zajmuje poważną pozycję w przemyśle rozrywkowym, jednak domaga się ograniczenia monopolu wielkich gwiazd, a tym samym szansy startu dla młodych piosenkarzy i zespołów. Temu właśnie celowi służą, według niego, radiostacje piracki i małe wytwórnie płyt.

• • •

Brian Epstein (menażer the Beatles): „Największe wydarzenie w muzyce od czasu debiutu the Rolling Stones". Scott Walker: „Największa muzyczna sensacja 1967 roku", Mick Jagger: „On zrewolucjonizuje pop-music" — oto kilka z wypowiedzi o nowym odkryciu brytyjskiej piosenki, Jimi Hendrix'e. Ten 22-letni Amerykanin o bogatej przeszłości muzycznej, zaszokował wszystkich nagraniem „Hey Joe". Jimi jest szefem grupy: The Jimi Hendrix Experience. W skład tej grupy, oprócz niego wchodzą: Chas Chandler (były członek the Animals), Noel Redding (z zespołu the Loving Kind) i Mitch Mitchell (z the Blue Flames).

• • •

Najnowsza płyta zespołu the Walker Brothers „Deadlier Than The Male" pochodząca z filmu o tym samym tytule, spotkała się z niezbyt przychylnym przyjęciem wśród słuchaczy. Sam Scott Walker wyraża się krytycznie o tej piosence, twierdząc, że nikt z członków zespołu nie chciał jej nagrać, ale ostatnie słowo w tej sprawie należało do menażera. Scott dodał jeszcze, że chętnie wykupiłby wszystkie egzemplarze tej płyty, aby nie dopuścić jej do sprzedaży.

(J.J.J.)

Lewym okiem

NIE BIĆ MALUCZKICH!

Zawodowi humoryści i satyrycy ciężko się nieraz muszą napocić, zanim wyjdzie im spod pióra śmieszne, polotne, paradoksalne zdanie. Dzieciom udaje się ta sztuka całkiem niechcący, przez niezupełne rozumienie wieloznaczności słów i zwrotów, przez ich zbyt dosłowne pojmowanie, przez piękną, ufną, naiwną wiarę, że słowo znaczy tylko to, co znaczy.

Ani „Przekrój" nie wynalazł humoru zeszytów szkolnych, ani „Kobieta i życie" — satyry w krótkich majteczkach. Kolekcjonerem i wydawcą lapidarnych, błyskotliwych, prześmiesznych powiedzeń dziecięcych był od dziesiątków lat Kornel Czukowskij, świetny radziecki pisarz. Ani jemu, ani milionom jego czytelników, ani czytelnikom „Przekroju" i „Kobiety i życia" nie przyszło nigdy do głowy, że publikowanie tych powiedzeń jest szyderstwem i „naigrawaniem się z dzieci".

„Naigrawanie się z dzieci nie jest sztuką wielką" — pisze felietonista „Dziennika Łódzkiego" Karol Badziak, właśnie o „humorze zeszytów szkolnych". „W ogóle naigrawanie się z ludzi nie jest zabawą". Po takim oświadczeniu „Szpilki", „Karuzela" „Krokodyl", „Simplizissimus" i setki innych pism satyryczno-humorystycznych powinny zamknąć interes. Naigrawanie się ze Szkotów nie jest zabawą. Naigrawanie się z rybaków i myśliwych nie jest zabawą. Naigrawanie się z teściowych, mężów, żon, pijaków, kłamców, podróżników, kelnerów, rozbitków i zakochanych nie jest zabawą; to przecież wszystko ludzie, w dodatku czasem — jak rozbitki i mężowie rogacze — dotknięci nieszczęściem osobistym. Jak można się śmiać?

Tenże felietonista pociesza popularnego, zasłużonego i starszego wiekiem pisarza, że będzie nadal popularny i czytany, bo — tu przypomniane stare ekonomiczne prawo Greshama — pieniądz srebrny wypiera z rynku monetę złotą. Czyli — to co pan pisze to słabizna, ale pociesz się pan: słabizna podoba się najbardziej.

Nie bardzo rozumiem w takim razie poprzednie zdanie, gdzie K. Badziak stwierdza ponad wszelką wątpliwość, że ludzie wolą Załuckiego niż Pirożyńskiego. Czyżby Załucki był srebrem, a Pirożyński — złotem? Albo zdanie końcowe, już zupełnie jednoznaczne: „myśli nieuczesane (— srebro... —) wypierają z rynku wszystkie myśli uczesane (— złoto... —)". Czyżby więc należało uczesać grzecznie myśli wszystkich obywateli, upowszechnić tę „złotą walutę", tę grzeczniutką, przystrzyżoną ślicznie jednomyślność czy też — „grzecznomyślność"? A spalić „nieuczesane myśli", chociaż — właśnie pod takim tytułem, w wykonaniu St. J. Leca — stanowią jeden z lepszych naszych artykułów eksportowych?

To są drobiazgi, a Badziak zaczął swój felieton od stwierdzenia, że w ogóle „etatowi szydercy", czyli satyrycy, „za dużo ciosów rozdają maluczkim". Nieprecyzyjne myślenie, niejasny i nie wolny od sprzeczności wywód w wielu publicystycznych enuncjacjach — głupstwo, drobiazg. Jażdżyński w „Odgłosach" przedstawił zresztą całą felietonową „stawkę" z jednego tygodnia — od KTT po Kisiela — jako zupełną bzdurę. Szalety? „Temat, jak wiadomo, wcale nie ograny, a jako sprawa wagi państwowej niesłusznie porzucony od czasów Sławoja-Składkowskiego".

Nie podzielam tego kpiącego stanowiska. Właśnie w sprawie szaletów. Czy śmiesznym i zbędnym jest pisanie o szaletach, bo nie stanowią sprawy wagi państwowej? W wielę lat po Sławoju, a parę lat temu, pisał o szaletach w „Przeglądzie Kulturalnym" (!) Władysław Bieńkowski, wiceminister. Pisał w tonacji powszechnego alarmu. Od tamtej pory prawie nic się nie zmieniło. W parku „Źródliska", w parku 1 Maja, w parku im. Staszica w promieniu pół setki metrów dokoła wiadomych budyneczków nie można usiąść, a przechodnie uciekają, przyśpieszając kroku. Pół setki metrów dokoła to już kawał parku, gdzie przychodzi się ponoć po świeże powietrze. Tak samo jest na wszystkich mniejszych stacjach kolejowych, tak samo w większości lokali publicznych. Czarna rozpacz! Trzeba o tym bębnić wciąż, coraz głośniej, bo — słowo daję — na tym „odcinku" nasz kraj ze wszystkich, jakie udało mi się widzieć, przedstawia się najgorzej.

Drobiazgiem być może jest także pełna wdzięku nonszalancja w prostym informowaniu czytelnika. Oto w „Kulturze" z dnia 1 stycznia br. w rubryce „A może by do kina?", informuje nas ktoś nie poinformowany, że w filmie Disneya „Książę i żebrak" oglądać możemy „fascynujący świat zwierząt unikalnych i ginących w różnych zakątkach globu. Świetne barwne zdjęcia i wartości popularnonaukowe w najlepszym stylu".

Bardzo lubię zwierzęta na filmie, a znając z detalami historię Twaina o księciu i żebraku z napięciem czekałem, jak też pomysłowy reżyser rozszerzył akcję na tereny egzotyczne. Poszedłem na film wyłącznie dlatego, że przeczytałem informację „Kultury". Niestety, w całym filmie występuje tylko jedno jedyne ginące zwierzę: biały koń. Znów więc dałem się zrobić w konia.

Jakim wnioskiem zakończymy dzisiejszy kawałek? Piszmy felietony o felietonach, ale piszmy też felietony o szaletach. Czytajmy recenzje i notki o filmach, ale tak naprawdę to przed pójściem do kina pytajmy znajomych, o czym tam jest. A żartów nie traktujmy od razu jak szyderstwa, choćby dotyczyły małych, słabych, bezbronnych, kochanych dzieci.

ĆWIEK

Redaguje zespół: Halina Bekowa (redaktor techniczny), Wacław Biliński (redaktor naczelny), Konrad Frejdlich, Jan Koprowski (kierownik działu kulturalnego), Andrzej Makowiecki, Ewa Siemińska, Włodzimierz Stokowski (z-ca redaktora naczelnego i sekretarz redakcji), Teresa Wojciechowska. Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł; kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17 Zam. 371. II. 1967 r. O-11.